STRONA CZYTANA

13/2023

STRONA CZYTANA

Redakcja:
Piotr Borkowicz, Agnieszka Budnik,
Kamil Galus, Patrycja Sikora, Natalka Suszczyńska

Korekta: zespół redakcyjny

Oprawa graficzna: Maciej Skalik
Logo: Jakub Pszoniak

Spis treści

WSTĘP **4**

POEZJA **5**

AKRAM 6
DOMAŃSKI 10
KOLBIARZ 15
KONAR 18
MAKOWSKA 22
MUNDPROPAGANDA 26
TOMICKI 30
WALKOWIAK 35
WIERNY 40
WRÓBLEWSKI 43
ŻUCHOWSKA-ARENDT 47
DWUPAK: CIEPŁUCHA & WŁODARCZYK 53

PROZA **56**

KOWALIK 57
MIERZEJEWSKA 70
POHL 72
POKLĘKOWSKI 75
WOYDYŁO 81
ŻAKIEWICZ 86

KRYTYKA **96**

JANOTA 97

ROZMOWY NA STRONIE **101**

ROZMOWA PIOTRA BORKOWICZA Z MISZĄ SAGIM 102

STRONA WOLNA **109**

DOROTA ŚWIDERSKA 110

Wstęp

Wyślizgaliśmy się. Wpuściliśmy do domu ostatnie klucze ptaków. Palce mamy jeszcze sprawne, zanurzamy je na głębokość, z której wyrosną stada grzybów. Czy chcesz należeć do tej konwersacji? Czy chcesz wyglądać dość kreskówkowo? Chcesz spisać księgę przyrody, a potem ją zgnieść i zjeść? My tak średnio, wszystko podchodzi nam do gardła.

Redakcja Strony Czynnej

Poezja

Sara Akram

– ur. w 1994. Doktorka językoznawstwa, mieszka i pracuje w Lublinie. Wiersze publikowała w zinach, czasopismach i antologiach. Laureatka 13. edycji „Żurawi – lubelskich wyróżnień kulturalnych” w kategorii „słowo” oraz 15. edycji Pracowni Twórczej „Połów” (organizowanej przez Biuro Literackie). Nominowana do Nagrody Głównej w konkursie im. J. Bierezina (2021).

czy chcesz należeć do tej konwersacji?

Ivanowi

utopiłam dziś muszkę to znaczy wpadła
do wanny a ja jej nie wyłowiłam; miałam dużo
wolnego czasu więc ścierałam wysypkę
z żeber nad brwiami drobne gwiazdki

dziś jestem lekko rozproszony
nie ma we mnie głodnych żabek tylko ciasteczka
z chińskimi wróżbami i lekkie skurcze ciała
w przerywanych miejscach i śnieg

pod powiekami szorstki wysypuje się jak piasek z sahary
kłamały w nas imiona nazwiska znaki zodiaku

naiwność to taka strategia przetrwania konfliktu
nie wiesz dlaczego ale zostajesz z tyłu

trackverse (z Sosnowskiego)

wiersz nie ma cienia tylko losowo wybrany smak
lodów firmy bosko i twarz billa gatesa który prosi o twoje hasło do wifi
chciałabyś go odzobaczyć ale wiersz już jest
na progu metawersum wychodzi traci zasięg w tunelu
czasoprzestrzennym możesz go tylko przeżywać i czuć; w metawersum
pałacu pamięci zbudowanym na znak pokoju i nielegalnego przesyłu danych systemie
zbudowanym na wodzie twarzy na pięciu wymiarach i sześciuset zmysłach zbudowanej
w którym czekasz; znajdziesz wszystkie odpowiedzi i wszystkie pytania

metawersum to przyszłość pralinka; wiersz z niej nie wychodzi nigdy
nie wraca to antykadencja rozłożona w czasie i tokenach kwitnąca
w semiramidy wiszących ogrodach
wewnątrz meta wiersz jest żałobą po lodowcu Okjökull
pamięcią Odry pamięcią lasu i ognia pamięcią drutu
i obłych śladów na ziemi; składakiem
z czerwoną nitką zawiązaną na kierownicy

reset świata ; reset wersum w którym wiersz jest
whistleblowerką a ty silikonową kuleczką i widzisz rzeczy
takimi jakie są jakimi mogły być i jakimi były

mogłabym opowiadać cię jak dobrze napisany sitcom w którym nikt
się nie śmieje; podłożyć ogień i patrzeć
jak odkrywasz przede mną tajemnicę ponownego wcielenia klawiatury qwerty

ale kto będzie wtedy wyobrażał końce światów kto będzie
niósł ślad węglowy pamięci przez wyschnięte delty Nilu i Amazonki

co będzie robił internet kiedy skończy się człowiek
co będzie robił człowiek kiedy skończy się ogień

placebo (z Kulikowskiej)

wychodzę na ciężkie od smogu miasto
jestem niebieską kropeczką w drodze
mlecznej budzę się na przystanku (i jakby mniej
mnie i jakby więcej potłuczonych okien) świetliste
rozkładówki rażą w oczy (i jakby mnie
skromniej) z głośników płynie surowy nokturn w bramach
czekają małpki nioski flaszki pełne ambrozji podrzucone
na balkonach kukułcze skorupki

ten mechanizm musi działać nawet w zaklętych docsach
i spękanych kasetonach *lubisz sobie wyobrażać że jesteś przerwą*
w galaktyce ten mechanizm musi dawać i odbierać nawet jeśli skasowałaś
się od środka jesteś pełna ekogroszku *można go wysypać i patrzeć jak ogrzewasz sobą*
dom którego nie ma i ogród którego nigdy nie było tylko
tabsy i dropsy w magnoliach zerwane frazy w pół
ścięgna zdarte szkliwo i skóra na udach

po kim dziedziczysz wstyd a po kim agresję do świata i samej
siebie; czy są w tobie miejsca których można dotknąć
i nie będzie boleć (i jakby mniej mnie i jakby więcej
zasypanych ścieżek); czy w twoich oczach widać gwiazdy czy tylko gniazda szerszeni

ten mechanizm będzie działać w czasie rzeczywistym nawet kiedy wracam
w mroźną noc; wewnątrz miasta pulsuje mój głos

bo można tylko tak: na pełnym oddechu
[a jednak jesteś twardym podniebieniem o które rozbija się język]

i można tylko tak że: nie zostaje sił na powrót
[a jednak jesteś systemem kodującym własne błędy]

Szymon Domański

– (ur. 1997) publikował między innymi w Helikopterze, Kontencie, Malkontentach, Stonerze Polskim, Wydawnictwie J. Dwukrotny finalista pracowni drugiej książki wierszem Biura Literackiego. Mieszka w Krakowie.

ivy league

palce ciągle mają sprawne
urodzili się by spłonąć na słońcu

jest w tym pewien luz rozumiesz
boję się noży więc chodzę
z jednym w kieszeni a pieprzyk na

ręku umiejscawia mnie w jednym
rzędzie z bohaterami i zbrodniarzami

oni się przecież tacy nie rodzą
mój blok jest moim zamkiem
wyrywa im się czasem z zaszytych otworów

ivy league rozsiana po półpiętrach
łamie drzewa jak kości łamie się sama
choć muszę przyznać
z dumą noszą popiół na szortach

jeden nawet przestraszył się że oślepł
więc nie otwiera już oczu

siano obiecane

mam stada powidoków
i świat zabawny gdy
siedzę upalony i oglądam filmy o nepalu

gdyby moja pensja miała pensję
bawiłbym się konceptem nocy nakręcaną myszką
na deskach teatru nō gdyby moja pensja miała pensję
ale nie ma dlatego mam stada powidoków
znajduję tylko alkohol szczyny i smutek
i jestem zachwycony stary
o kaszlu należy nakręcić film

wszystko już było

stoję za słowem
język opada ostatni
śniłem że nie umarł
a była to cieplejsza
z pamiętanych zim

obudziłem się w warsie

w ciemności moje strony wyglądały jak moje strony
łańcuchy pokarmowe gór nie strawią tego wstydu

pierwszy śnieg to banalny tytuł

pracuję na starym dworcu
ptasie radio nadaje z kraju w którym
śnieg tnie jak muramasa tokugawów a
śreżoga to piękne słowo ale bezużyteczne i
chociaż każdy widzi szarżę samurajów w lesie
to nikt się do tego nie przyzna
oglądam chmury stukam w klawiaturę
popijam herbatę bez ceremonii
raczej nie myślę o mruganiu

chmury nad głową formują się w kształt
lokomotywy parowej klawisze klawiatury
przechodzą w steampunk w ramionach
mojej dziewczyny umiera człowiek ja
otrzymuję w darze glinę stal i brąz

Katarzyna Kolbiarz

– (ur. 1988 r.) absolwentka Uniwersytetu Medycznego, pasjonatka psychologii, rozwoju osobistego, macierzyństwa i poezji dla dzieci. Zadebiutowała w 2022 r. w miesięczniku literackim Akant oraz w magazynie artystyczno-literackim Helikopter.

koronkowa serwetka pod tv 1990

weź pomóż mi z tym bo mnie zgniata

rzucałam okruchy w lesie
żeby oznaczyć
ale nikt nie chce za mną iść

przyleciały sokoły na ścieżkę czaisz
ale nie chciały ich ruszyć
patrzyły tylko jak się miotam

miałam oddać babci
bo mówiła kiedyś że to jej
ale zapomniała gdzie położyła

a ja ubierałam jej korale na głowę
jak ślązaczka pod boki
kręciłam się przed lustrem
i się przypięło

i mówię
- mam babciu -
ale jej już nie było

znalazłam kopertę z liścikiem:
“dla ciebie wnusiu
co tam jeszcze chcesz
to zachowaj dla siebie”

kręgi

wskazówki kroją spięty rdzeń
ścięte zęby tarciem rozszczelniają czaszkę

biały jeździec wspina się na lodowy wierch
po zmarszczkach sokołów
śnieżnej sierści

nazbyt się chybocze
przechyla
spada
a koń depcze truchło i kuśtyka sam

wicher zatacza kręgi w oddali
zaciska obcęgi na skroni
razi pyłem

w środku krąży czarny ptak
czeka
aż zamknie się pierścień
i skruszą szczęki

Paweł Konar

– najbardziej copywriter. Literacko pojawiał się w Stonerze Polskim oraz Stronie Czynnej.

Sedacja w Siedziszewie

Wiążę mowę skrycie
w stychininę
zapalenie po
więzi
a ty, o ty tam siłujesz się z niedźwiedziem na rękę
i stawiasz mu kolejkę
potem potykasz wielkiego kataryniarza
który sam jest młynkiem pełnym grassu sypie
sprytnie gryzie w gardło
chowa tryby warunkowe
za zrobionym biustem

defloration full video

Pierwej jurniej
fuck one fuck o
Damian
weźże steguj
bulę

Tonę narybku w kulach
staw skokowy podjął
dobrze utrzymaną 40-stkę
diguuuj diguuuj
sampel receptora GABA

A w świecie równoległym naszczaliśmy
do czapki marszałka

Formalina

Rzut w twarz:
patrz z czego
żyjesz
i żuj słusznie

Parę lat później
oddalono zarzuty
zrzucono bieg
jehowy
i
zarzucono
pigułkę
powleczoną po
czym
nie wiem, ale peruka
z rzeżuchy
leży świetnie
i
aspiruję
na światło dzienne

Izabela Makowska

– urodzona w Świeciu nad Wisłą. Dorastała w Laskowicach Pomorskich i Gdyni. Jest zainteresowana śladami miejsc i pamięci, ich metamorfozą i wędrówką. Napisała między innymi sztukę teatralną *Tamso*, która została nominowana do nagrody Retzhofer Dramapreis. Ukończyła slawistykę na Uniwersytecie Humboldtów w Berlinie. Pracuje w administracji ośrodka działającego na rzecz społeczną. Żyje w Berlinie. Publikowała w *Odrze* (Pocztówki literackie Karola Maliszewskiego) i *Akancie*.

Topnienia

W basenach portowych ziemia się nie zrosła. W ziemi są koryta. Jest północ.
Na warstwach po szorowaniu lądolodu powiedziała: nie mogę zasnąć Nie mam swojego łóżka
W tym stadium jej ciało jeszcze rosło.
Scalało się nabrzeże Rubinem zakłócone

Niepoddająca się fałdowaniu

Nasze głowy nie chcą tutaj mieszkać. Beton i grube gałęzie przyczepiają się do nóg,
Myjemy obrzęki. Nasze nogi mogą się rozpaść Mowa jest w fałdach.
Z okien widzimy kontenery,
i piasek; w rajstopach
Musimy teraz tak leżeć Odwrócone w południowej części klifu

Utrwalenie

Na lini brzegowej woda z raną pcha morze do wsi Töre. Na progu przesuwa się relikt historia i jedna fala nasyca roślinność. Wpisuje w morze ból ogólny
Ból w wodzie jest kiedy ławice ryb pchają falę z raną z Zatoki Gdańskiej do wsi Töre pchają skrzelami; łzawią. Nie mają pleców.

Pokłady

Były pierwsze otarcia w bryłach i nikt nie mówił. Po sztormie ubrani w skafandry byli głodni kiedy patrzyli na zamrożone ryby czuli podrażnioną skórę Granatowe śledzie miały jeszcze głowy.
Były niespokojne od lodu i od pojemników

Akwen

W przejściu między morzem a lądem patrzę w ziemię Przypominam sobie niepłodne zwierzę.
Dźwięczymy razem. Dzielimy się wodą morską.
W pradolinie staw już nie buczy,
Jest coraz węższej; taka jest nagość.

Bryłki

Miał długie palce. Przez cały czas był kościsty i umierał.
Wtedy w morzu zaczął gromadzić się plastik
Osiedlał się teren Obniżał
nasze gołe nogi w półbutach i dźwięk na urwiskach
napromieniowanie miało kształty jak luźny piasek

Mundpropaganda

(ur. 2001 i 2000 r./2022 r.), dwuosobowy kolektyw do testowania metafory pracy w łańcuchu, w którego skład wchodzą Ala Ch. i Piotrek P.

***** (głód pod nogi, taka wyrwa w grze)**

głód pod nogi, taka wyrwa w grze
z którą sypiały najweselsze psy z tej dzielnicy
dawaliśmy im obgryzać kości.
teraz jesteśmy za starzy, prawdziwe zęby bolą

i kupujemy miękkie szczoteczki
w sklepach z kawą wodziliśmy czyściutkich,
pięknych ludzi linią brzegową.
w garażu zapytałem, czy chcecie zapalić

hodowaliście rzeżuchę w słoiczkach
z odwrotnym odbiciem. Po północy
zgubiłam wątek – chyba chodziło o to,
że jeśli jest znak, to jest i historia,

jest kryzys aliteracyjny, słońce w brzoskwini
do tej pory dzieci kąpią się w śniegu
z podwójnym dnem. Ale ja nigdy
nie oddam mojego jabłuszka.

***** (łapanie poręczy. w procesie odkładania)**

łapanie poręczy. w procesie odkładania
na później zwała wyprzedza mnie w drzwiach.
zaginanie wieczoru od wschodniej strony.
tędy wlatuje światło. falami. jestem
kroplą kleju w oku boga. mała rozkminka na tafli szumu.
śledzimy te ciche stópki w masowych ilościach.
inny żywioł, ruch w shibari.
zjedzmy coś zdrowego, spróbujmy
zmienić się w byki, podać się do stołu
witaminowym kopniakiem (pytasz o drogę?
dziś jestem nieledwie arbitralny).
piosenka nucona przez zęby, rozczulenie w ciśnieniu.

***** (Między nami mówiąc, to było w jakimś)**

Między nami mówiąc, to było w jakimś
ślepym zaułku, miejscu spotkań kurierów rowerowych.
Któregoś pełnego niebieskich strużek dymu wieczora
zaczepił mnie wagabunda i zagadał,
że kiedyś był trenerem capoeiry. Przestrzeń
to bryłka plasteliny, która rozgrzewa się w palcach, powiedział,
czego się napijesz, znam te strony od środka,
bachicznych drgań ziemi. Teraz weź mnie na poważnie:
zaułek zgniótł wagabundę, rozciągając pode mną
coraz większą plamę moczu. I budowniczowie
niejednego imperium zadrżeli, z napiętymi sznurami
bloków na ramieniu; rozgrzała się niejedna garść piachu,
który do dziś wykasłuję przy większym wysiłku.
Plastyczne ciało trenera capoeiry, tak,
to jest odpowiedź na pytanie,
co takiego skłoniło mnie do aplikowania.

Grzegorz Tomicki

– poeta, muzealnik, doktor nauk humanistycznych w zakresie literaturoznawstwa. Opublikował tomy wierszy: *Miasta aniołów* (Bydgoszcz 1998), *Zajęcia* (Kraków 2001), *Pocztówki legnickie* (Katowice 2015), *Być jak John Irving* (Łódź 2017), *Konie Apokalipsy* (Wrocław 2021) oraz monografię naukową *Po obu stronach lustra. O twórczości Eugeniusza Tkaczyszyna-Dyckiego* (Szczecin-Bezrzecze 2015). Mieszka w Cieplicach, pracuje w Muzeum Przyrodniczym w Jeleniej Górze. Włóczy się po górach i lasach.

Wigilia z Gabą Kulką

Wigilię roku 22 spędzałem z Gabą
Kulką i jej ojcem Konstantym, a może
z profesorem Konstantym i jego córką

Gabą, inna sprawa, że zaraz po gwiazdce
czytałem krótkie, choć pełne dłużyzn
wywiady z paskudnymi ludźmi (nie ma

jak pisarze długojęzyczni), co było jak
słuchanie tych ludzi na co dzień, tyle że
w święto, tymczasem za ścianą bliższej

lub dalszej wieczności dobywał się dźwięk
podobny do jęku lub łkania, jakby ktoś
kochał lub cierpiał albo dopiero

do tego się rodził.

Muzeum opatrzności

Ktoś nieopatrzny, kto był wcześniej
na moim miejscu, wpisał te zdjęcia
do Księgi Wpływów i teraz muszę

dbać o tego dziada z kanapy
i babę w chuście pod obrazem,
którzy przeszli na własność państwa

i żyć będę wiecznie jako państwowy
nieżywy inwentarz. Wziąłem pióro
do ręki i ledwie spojrzałem,

już dziada z babą żałuję,
tak się od razu wszechstronnie
boleśnie ko

jarzą jak żar.

Koniec języka

W Okrzeszynie przy kościele
Najświętszej Dziewczyny zawsze
ocieram się o tę akurat kość prawdy

o niczym, która nigdy nie wychodzi
z użycia. Staję nad potokiem
Szkło jak stary, beznogi bóg

i czuję wyraźnie, że mam ją
nareszcie na końcu języka.
Zawsze na końcu. Zawsze

w gardle ta
kość. Ta
ość. To

ć.

Za Rogiem

Rzadko występuję publicznie,
więc rzadko mam okazję oduczać się
licznych publicznych uchybień,

za to prywatnie najczęściej zstępuję
gdzieś niżej, dogłębniej. I tyle mnie
widać. Na górze Róg albo zaraz

za Rogiem też jestem zbyt nisko,
choć przecież bliżej Chełmska Śląskiego
niż dalej, ale to żadna publika, inaczej

natomiast jest w Libnej, gdzie zamiast
spijać przydawki i okoliczniki z ust
zgrai turystów, piję wodę prosto

ze źródła Metuji.

Julia Walkowiak

– Poetka, muzyczka eksperymentalna, DJ-ka. Dźwiękowo występuje pod pseudonimem Kurz Muzyczny. Wcześniej studentka Teatrologii, obecnie studiuje Intermedia na Uniwersytecie Artystycznym Magdaleny Abakanowicz w Poznaniu. Jej twórczość motywują epizody maniakalne, treści zasłyszane przypadkiem, żarty i paranoje. Twórczyni audycji The Joy Room w Radiu Kapitał, współtwórczyni wydawnictwa TEGES SZMEGES. Nominowana do Młodych Wilków 2021, chwalipięta.

Kochanie świata.

Jest to robot kuchenny
powiedział bóg
ja go tam zesłałem wam.
Zgorszenie.
Wszystkie rzeczy które chciałam robić- robię
Nigdy nie rób prostych rzeczy
np. chodzić na opak na owak jak nazwisko poetki.
Wyjadacze surowej cebuli z mokrego papierka
są was tysiące!
Nie gryziecie dobrze bo chcecie kolejny kęs!
Schłodzone ciało szybciej zasypia,
zakładacie więc skarpety.
Świat wie kiedy ma się zsunąć pomidor z kanapeczki
za łóżko, plaster szynki plasnąć.
Robię cztery kanapeczki.
Nawet łez nie umieją normalnie ocierać,
drapią dłonią twarz.
Za nami zielony ekran,
za nami premiera polskiego filmu o seksie,
za nas!

Sprzedaż doniczek w zimie spada

W śnie małe dzieci obserwuje
wielki pająk,
jak się budzą wstają z łóżka
coby nie spadł na ich główki.
Czerwony kibel diabelski
(z nim siedzimy w saunie, rośnie i straszy wzrostem)
wciągnął pająka i wszystkie dzieci świata
do wesołego przedszkola.
Pora na nas
pomyślały skromnie mnogo dzieci świata
małe rączki uczepiły pajęczego futra
by oderwać po kolei
szynóżki
brzęcząc jak ciuchcia.
Najsilniejsza dziewczynka wydrążywszy pozostałe cielsko
wsunęła się w pajęczą głowę i spoglądając
wielooczem przypomniała sobie,
że pajęczaki widzą czerwony, zielony, pomarańczowy,
że owadzia percepcja
nie bazuje na ofiarności.
Dojrzały, dorosły, zapachniały
trzymając w kanalikach łzowych
pajęcze ledwo wspomnienie.
W Nowym Roku pobiły się nawzajem metalową rurką,
grozi im do pięciu lat więzienia.

***** (Rodzinne życie)**

Rodzinne życie
nie zostawia zbyt wiele do pisania
siedzę przy biurku i wyrzucam długopisy
słowotwórcze raczej z sensu niż z praktyki.
Język wypycha zamki papierem.
Smutne oczy na drewnie, modliszki i psy,
Zauważenia znudzenia, modliszki i psy.
Pocieram przedmioty w przestrachu, że są plamą,
kursor, słój, rozlana bateria.
Skrobię przedmioty w przestrachu, że są okruchem.
pod paznokcie wchodzą szkielety zwierząt innych niż człowiek,
pod paznokcie wchodzą inne paznokcie, włosy, trądzik i cysty.
Pies wie, że nie dostanie całej parówki,
bo jest bystry.

Pomysł na Gołąbki inaczej

Wysoki sądzie, bo mi się półeczka wyrwała z zawiasów.
Proszę powtórzyć dla stenografki.
Półeczka z zawiasów wyrwana.
Proszę zapisać słowa Pana Mecenasa, który stwierdził o dowodach prokuratury
jakoby były stworzone przez różdżkarza bądź inną kategorię czarodzieja.
Ta ekspertyza nie jest opinią biegłego, zgadzam się,
mógł to być różdżkarz bądź czarodziej.
Ktoś chce popełnić to przestępstwo,
że pewnym sensie jego zachowanie wskazuje,
że on się godzi na to,
że do tego przestępstwa najpewniej dojdzie.
Moje żarty upadły na dywan zakłaczony wilgotną stroną do dołu.

Świat na człowieku zostawił pępek
Człowiek na świecie zostawił kwadrat
Bliznę doskonałego formatu.

Aleksander Wierny

– poeta, prozaik. Urodził się, mieszka i pracuje w Częstochowie, pomieszkuje w Sygontce. Autor pięciu książek prozatorskich i trzech tomów poezji.

SMYCZ

Na trawniku obok kościoła
stara kobieta w białej czapce
i czarnym futrze z niegroźnych zwierząt
drżącą dłonią potrząsa samą smyczą
i woła: wróć!

***** (Bardzo bliski wybór)**

Bardzo bliski wybór:
albo arboretum obejmie emporium,
albo koniec,
bo emporium otoczy arboretum.

ZIEMIA

Korzenie lipy wybrzuszyły chodnik,
nabrzmiały jak żyły przedramion
kogoś, kto uniósł wielki ciężar,
żeby go nareszcie odrzucić.

Ziemia z nami nie wytrzymuje.

MIASTO

Kupa liści
pozostawiona w parku,
żeby ukryte w niej jeże przetrwały zimę.

Reszta miasta dla nas.

Grzegorz Wróblewski

– ur. 1962 r. w Gdańsku, w latach 1966-1985 mieszkał w Warszawie, od 1985 r. w Kopenhadze. Artysta wizualny, autor książek poetyckich, prozatorskich i dramatów; ostatnio wydał zbiory *Tora! Tora! Tora!* (WBPiCAK 2020), *Cukinie* (Convivo 2021), wybór poezji z lat 1980-2020 *Letnie rytuały* (PIW 2022), książkę *asemic writing Shanty Town* (Post-Asemic Press, USA, 2022) oraz poezję wizualną *Polowanie* (Convivo 2022).

NADWAGA PARTNERKI

Chcę być w końcu wolnym
człowiekiem!
– mówi zbuntowany prozaik.
W jaki sposób? – pytam go.

Ukradnę w sklepie cytryny
i zamkną mnie z miejsca do pierdla
– objaśnia mi swój zaawansowany
plan.

Ludzie nie potrafią
szybować jak albatrosy.
Muszą czasem odpoczywać
na koi.

TRAJEKTORIA

Na ścianach rysunki
z głowami smoków
i półnagim, ukrzyżowanym
mężczyzną.

Gdzie my właściwie jesteśmy?
– zapytałem obojętnego
na wszystko pilota.

Nie mam zielonego pojęcia…

Naprawdę, nie wiesz,
co to za dziura? – zacząłem się
niepokoić.

A skąd mam wiedzieć?
Widocznie zmieniła się
trajektoria – powiedział,
przecierając zawilgoconą
łuskę.

CZY POSIADAMY DUSZĘ?

Czy posiadamy duszę?
– zapytał
o 7:00 rano.

A czy zjadłeś już swoje
śniadanie?
– odpowiedziałem mu

prostym pytaniem
na jego skomplikowane
pytanie.

Agnieszka Żuchowska-Arendt

– (1983) poetka, tłumaczka, autystka i feministka. Opublikowała 3 książki poetyckie, ostatnio: *Wieszak i pogrzebacz* (wydawnictwo papierwdole 2022). Śpiewa w Krakowskim Chórze Rewolucyjnym.

..*

Jedz żelazo póki gorące!
Mówiła matka
stawiając przede mną talerz
Nie będę jeść wątróbki!
Mam własną, czemu mam jeść cudze! - wołałam.
Jesteś słaba,
żeby być silną, musisz jeść
cudze

Vademecum kobiety użytecznej

Kobiety nie powinno być za dużo.
Małe stopy i dłonie,
żeby podłogę zamieść,
gar bigosu przenieść
albo niepełnosprawne dziecko.
Szczupłe nogi,
brzuch i piersi,
dla potomstwa tylko to,
co niezbędne.
Kolana, żeby na nich dziękować
za każdy odkręcony słoik,
lodówkę na ósme piętro.
Oczy i usta
malutkie,
bo jeszcze będzie patrzeć na ręce,
bo jeszcze będzie się odzywać,
bo nie powinno być jej za dużo,
ani na mieście,
ani w mediach.
W domu i w kościele
też powinna znać swoje miejsce.
A jak już chce być wielka,
to niech ma wielki bebech
i łapy jak bochny,
niech zapuści wąsy, żeby jej żaden nie chciał
i niech idzie do kopalni,
jak każdy mężczyzna.

Wesele

to strata kasy z kredytu
którego nie dadzą na mikroapartament
antresola z łóżkiem nad wodą
gotującą się w czajniku
Trza być w butach
coraz dłużej, serce
pompuje coraz wcześniej i coraz ciężej
Jest jedna mała klatka
rękę pod pierś
bije!
A to Polska właśnie!

..*

Wyrosną tu grzyby
Lubię grzyby
może będą mądrzejsze od nas

..*

Wreszcie cicho,
jak prawdziwa dama,
bez prawdziwego życia,
za prawdziwe pieniądze.
Tak cicho idzie zawsze komornik,
niesie twój komputer, pralkę,
słoiki z dżemem załadował na traktor.
Trzeba było słuchać ojca, gdy mówił: na prawo!
Kto ci zabraniał zawierać znajomości?
Trzeba było mieć ojca, gdzie trzeba
i zrobić prawo jazdy na traktor.

Dwupak wierszy: Klaudia Ciepłucha i Natalia Włodarczyk

Natalia Włodarczyk

1998. Skończyła Lingwistykę Stosowaną, nie skończyła Zarządzania Projektami. Zarządza projektami. Między innymi, bo bawi się też w copywriterkę. Od 5 lat powtarza, że przeprowadzi się do Warszawy, ale szkoda jej opuścić wieś. Nie lubi kawy, ale ją pije.

Klaudia Ciepłucha

– rocznik dziewięć pięć. Po ukończeniu krakowskiej komparatystyki, napisaniu pracy magisterskiej z polskiego hip-hopu, postanowiła wziąć się w tak zwaną garść i na nowo zacząć pisać wiersze. Wychodzi raz lepiej, raz gorzej. Od czasu do czasu pisze o tym, co przeczyta i nic nie może na to poradzić. Publikuje głównie na swoim Instagramie, jednak jej teksty znalazły się również w takich periodykach jak *Odra*, *Stoner Polski*, *Strona Czynna* czy *Kontent*.

Natalia Włodarczyk

Dobra,

Po fajkach kręci mi się w głowie,
ale wychodzę z uśmiechem na zewnątrz
i chwalę się niemiecką zapalniczką.
Bo a nuż powiedzą, że jestem fajna i w to uwierzę.
A nóż wypada tylko z ręki drżącej.

Dobra, obejdę się bez tych kanapek.

Klaudia Ciepłucha

Obserwujecie się nawzajem

cały świat brak odpowiedzi
czekam cierpliwie znaku

iks i de jak alfa i omega

napis na piasku i zbawca
follow me unfollow

Proza

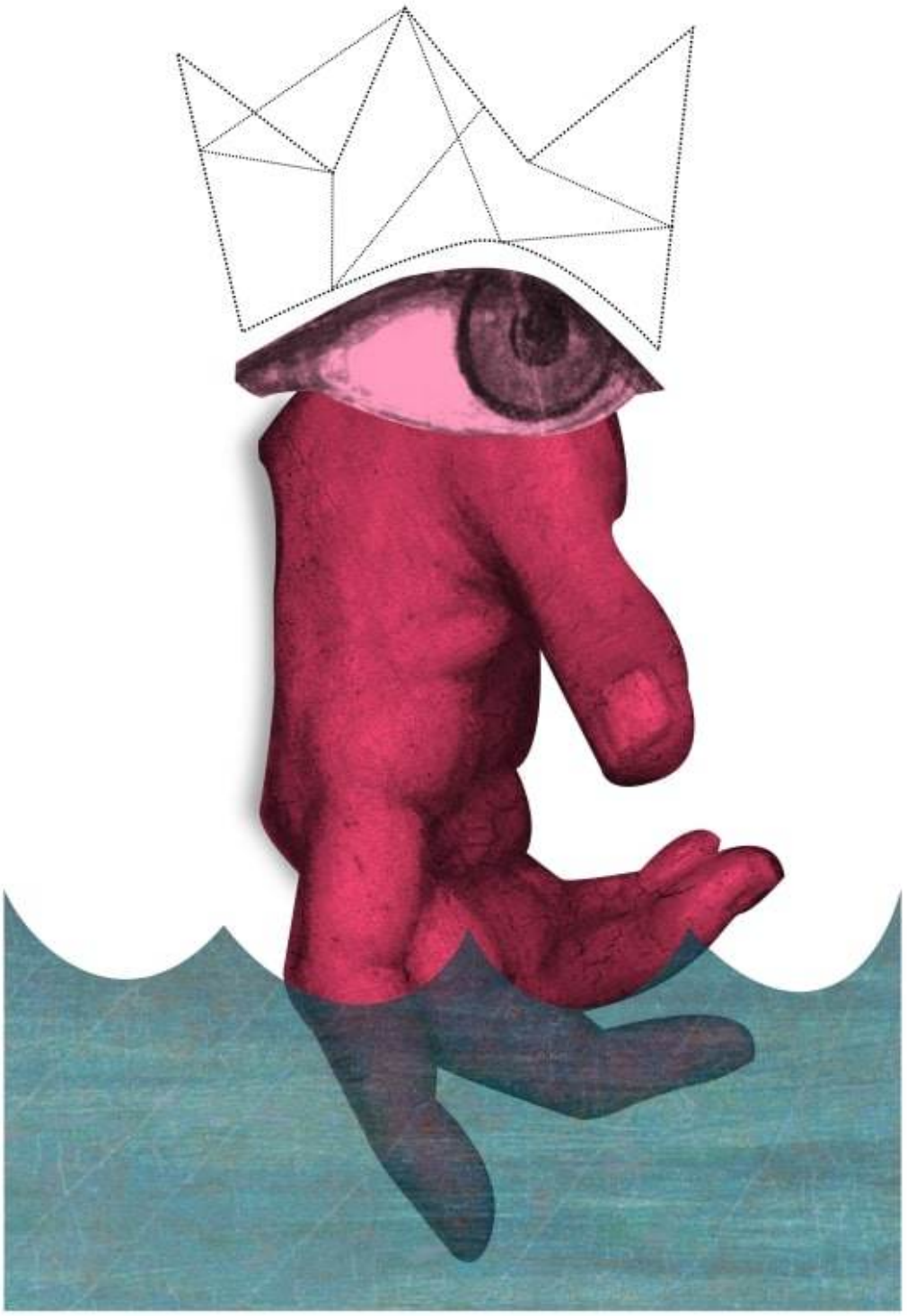

Arkadiusz Kowalik

Arkadiusz Kowalik (ur. 1991), autor opowiadań. Dwa z nich stały się zaczątkiem powieści *Dźwięki ptaków, odgłosy ludzi* nad którą pracuje w ramach Kursu Pisania Powieści Krakowa Miasta Literatury. Interesuje się tematami świadomości oraz percepcji, zarówno u ludzi, jak i innych zwierząt oraz relacją człowieka z naturą. Stara się znaleźć dla tych tematów literacką formę. Ukończył z wyróżnieniem *Studia technik pisarskich i prezentacji tekstu literackiego* na Uniwersytecie Warszawskim, w ramach, których napisał zbiór opowiadań *Klatki* – mozaikę historii współczesnych mieszkańców stolicy. Publikował w *Tekstualiach*. Absolwent Szkoły Głównej Handlowej w Warszawie. Pochodzi z Dolnego Śląska, mieszka w Warszawie. Niedawno kupił pierwszą lornetkę i ogląda ptaki, których wcześniej nie dostrzegał, a które zawsze były wokół.

U moich stóp leży roztrzaskany picasso

U moich stóp leży roztrzaskany picasso. To była jedna z tych ceramik, które lepił pod koniec życia. Dzbanek w kształcie ryby. Większość kawałków jest tam, gdzie spadła. Jedno z oczu zatrzymało się na ścianie. Trzy większe pomarańczowe skorupy powoli przestają się bujać. Drugie oko leży odwrócone do podłogi. Uchwyt zatrzymał się na mojej stopie w góralskim bamboszu. Całość rozpadła się na pięć dużych części i nieliczne okruchy. Ogon odłamał się precyzyjnie, zatoczył dwa koła i jako ostatni spoczął na podłodze. Omlet i mleko, które niosłem ze sobą, a w panice wypuściłem, próbując złapać równowagę, dopełniają kompozycji. To chyba forma malarstwa gestu, pomyślałem, patrząc na roztrzaskane u moich stóp 120 tysięcy złotych plus sześć za zmarnowane jajka i mleko.

1.

Siedzę w tramwaju numer 15, zawsze przyjemnie pustawym, bo przystanek wcześniej jest metro, które przez kilka stacji pokrywa się z tą linią. Siedzę i patrzę na ludzi, ale nie za bardzo, żeby nie pomyśleli, że się gapię. Najtrudniej mam z kobietami o ciekawej urodzie, bo ze względów estetycznych chciałbym patrzeć, ale znajoma mówiła mi, że to jest dla nich irytujące, więc trochę patrzę, a potem szybko odwracam wzrok. To niezręczne, jednak potrzeba patrzenia zwycięża za każdym razem. Patrzę też przez okno, bardzo lubię oglądać drzewa, bo zależnie od pogody są inne. W deszczu i wietrze wydają się szczególnie ciekawe, dramatyczne, ich dynamika kontrastuje ze spokojem i bezpieczeństwem tramwaju. Cieszy mnie poranny deszcz; rano zwykle jest jasno, krople są wyraźne, powietrze błękitnoszare i błyszczące jak sportowy mercedes.

Wysiadam przy żółtych daszkach metra, przechodzę koło francuskiej piekarni, w której zamawiam rogala z malinami, a ekspedientka nabożnie jak ksiądz podający hostię przykleja na torebkę znaczek lokalu. Jestem tam codziennie, zawsze ten sam rogal, zawsze to samo namaszczenie, już przestałem mówić, że nie trzeba, nawet zaczął mnie cieszyć ten rytuał niepowszedniego chleba. Przechodzę przez plac i wchodzę do marmurowego lobby wieżowca. Przykładam kartę i winda wybiera piętro 41. Nie wiem, jak pojechać na inne, opcji odwiedzania sąsiadów nikt tu chyba nie przewidział, ale to dobrze, im mniej podejmowania decyzji z rana, tym lepiej. To mieszkanie i jednocześnie

prywatna galeria pani Hofman. Z windy przechodzę do minirecepcji, w której nikogo nie ma, kartą otwieram drzwi holu, wsuwam buty w wielkie góralskie bambosze, bo po wystawach nie wolno chodzić w zwykłym obuwiu i popycham kolejne drzwi. Widzę stumetrową przestrzeń dwóch połączonych pięter. Ze ściany naprzeciwko jak pianka do golenia eksploduje mi w twarz wielkoformatowy trójwymiarowy obraz Franka Stelli. Mijam go codziennie, jednak wciąż z lekka wstrząsa mną efekciarstwo umieszczenia go przy samym wejściu, ale to nie ja ustawiam tu rzeczy. Moje jest tylko biurko w pokoju na 42 piętrze, do którego wchodzę po schodkach po lewej, tuż za ceramicznym dzbankiem-rybą Picassa. Szuram bamboszami po stopniach, piętro 42 jest bardziej stonowane i składa się z serii przechodzących w siebie pokójów oraz tarasu na północnej stronie wychodzącego na główne pomieszczenie. Przechodzę przez niewielką salę, w której nie ma nic poza pięcioma rozpiętymi od podłogi do sufitu sznurkami. Ten drobny zabieg niepokojąco zaburza całą przestrzeń – puste pomieszczenie wydaje się pełne szklanych ścian. Wiem, że to tylko złudzenie, więc idę przez środek. Kiedyś z przyzwyczajenia wyrżnę w szybę. W moim pokoju są trzy stoły i mnóstwo roślin. Jest betonowo-zielony z widokiem na ochrowe dachy starego miasta i drugi brzeg rzeki. Siadam, otwieram laptopa, rozkładam czekające na mnie książki. Każdy dzień wygląda tak samo. Każdego poranka robię sobie kawę i siadam przy stole, piszę lub udaję że piszę, czasem odgrzewam jedzenie, które zrobiłem sobie dzień wcześniej, czasem zjeżdżam, by zjeść na dole. Wieczorem wszystko zamykam, zostawiam biurko czyste i wychodzę.

2.

Pisanie to nieco mylące określenie. Tłumaczę. Moja kreatywność jest ograniczona tym, co już powstało. Moje pisanie to kółka na piasku. Dosłownie, ale o tym później.

Bywają dni, podczas których nie robię nic pożytecznego. Czytam newsy, czytam posty na facebookach znanych osób, które ironicznie komentują rzeczywistość, czasami sam wplątuje się w gównoburze o podatkach lub uchodźcach. Zwykle staram się czytać lepsze źródła, rzetelne dziennikarstwo oparte na faktach i badaniach naukowych, magazyny opinii i ludzi, którym zależy, by znaleźć drobinki prawdy chaosie informacji. Jest to jednak męczące, bo świat stał się tak bardzo skomplikowany, a jak już coś zaczyna mieć sens, to od razu rysuje się obraz wykorzystywania, nierówności i nienawiści, a ludzie podli zawsze wychodzą na swoje. Potem wracam do pracy, której

jeszcze nie rozpocząłem, ale już czuję się zmęczony. Zresztą zaraz pora lunchu, mimo braku współpracowników dla zdrowia staram się trzymać stałych pór jedzenia, więc nie ma, co się nawet zabierać i tak mija mi dzień, od artykułu do artykułu, od posiłku do posiłku, aż jest już ciemno i trzeba wyjść. W takie dni czuję czarną maź w moich piersiach, czuję się jak ptak oblepiony ropą naftową, który nie ma już siły walczyć, a najczęściej nie czuję nic.

W inne dni siadam i pisanie nawet mi idzie. To znaczy tłumaczenie. Sam piszę ostatnio mało. Od dwóch lat nic nie napisałem, kogo ja chcę oszukać.

Próbowałem i czasem słowa układały się same, były fragmenty, z których byłem bardzo zadowolony, ale całość wydawała mi się wybrakowana. Wracałem do tekstu kilka razy i nie umiałem połączyć elementów. Wszystko było miałkie. Dużo wtedy czytałem, dalej czytam, to chyba mój jedyny pożyteczny nawyk. To i jedzenie o stałych porach. Czytałem same ważne rzeczy. Flauberta, Prousta Gombrowicza, Camus, Llosę, Houellebecqa, Atwood. Moje zdania były przy nich mierne i niepotrzebne. Coraz częściej czułem, że nie mam nic do powiedzenia. Trzy niedokończone opowiadania i od dwóch lat pustka.

Michała nie widuję prawie wcale. To on udostępnił mi ten pokój i ogarnął pracę, która daje mi stały dochód. Dostaję 6 tysięcy złotych miesięcznie na rękę za pisanie tekstów o technologii dla kryptogiełdy, w której ma udziały. Dokładnie za jeden tekst na miesiąc, który powinien mi zająć dzień lub dwa, ale zwykle rozlewa się na kilka tygodni. Jest to dla mnie znikomy wysiłek, a wystarcza swobodnie na wszystkie moje wydatki. Dodatkowo dostaję też czasem zlecenia na pisanie innych tekstów, głównie w obszarze nowych technologii. W zasadzie nie staram się o nie. Same wpadają przez moich różnych znajomych z liceum i kolegów Michała. Piszę po angielsku i po francusku i wszystkim to odpowiada, bo płacą mi mniej niż native speakerom. Tłumaczę też książki dla wydawnictw, ale traktuję to bardziej jako hobby, wynagrodzenie jest śmieszne, biorąc pod uwagę nakład pracy. Nigdy nie są to bestsellery, co najwyżej średnia półka, ale zawsze znajdę sobie coś, co mnie nawet zainteresuje.

Nie jest, więc tak, że kompletnie nic nie robię. Zdarzają się dni, najczęściej poprzedzające deadline, podczas których rzeczywiście pracuję nad zleconymi tekstami i okazuję to minimum wdzięczności za wszystko, co mam, za wygodne i zbyt łatwe życie.

Ostatnio tłumaczę książkę *Dom na piasku. Jak piasek stworzył naszą cywilizację i jak ją zniszczymy* Karla Jensena. Nic dziwnego, że nie możesz się skupić, powiedział Michał, gdy pierwszy raz usłyszał ten temat, ale to jest naprawdę ciekawy materiał. Nie

mógłbym się skupić nawet gdybym dostał do tłumaczenia nową Rooney. Co do książki, jest to jedna z tych pozycji, których autorzy, wychodząc od bardzo podstawowego pojęcia, tłumaczą mechanizmy kształtujące świat. Otóż piasek jest głównym kruszywem używanym do produkcji betonu, materiału, który miał ogromny wpływ na losy ludzkości. Powstał ponad dziesięć tysięcy lat przed naszą erą, ale prawdziwe mistrzostwo w jego zastosowaniu osiągnęli starożytni Rzymianie. Aż do połowy XIX wieku technologia nie uległa większym zmianom. Wtedy materiał udoskonalono, wzmocniono żelaznymi prętami i zaczęto używać do budowy wszystkiego. Zużycie materiału gwałtownie rosło i szybko zaczęto utożsamiać go z postępem. Przewijając taśmę do przodu: mamy XXI wiek, w którym co trzy lata Chiny zużywają więcej betonu, niż USA zużyły przez cały wiek XX. Przy czym na Chiny przypada jedynie połowa światowego zużycia – cztery miliardy ton rocznie. Próbuję sobie wyobrazić tę abstrakcyjną ilość, więc przeliczam ją na wieloryby. Wychodzi mi, że tyle samo waży 38 milionów płetwali błękitnych. Różnica jest taka, że wielorybów ubywa i niedługo nie będzie ich wcale – część wytłuczemy, a reszta zdechnie od jedzenia plastiku i rosnącej temperatury mórz – a betonu z roku na rok wytwarzamy coraz więcej. Do jego produkcji potrzeba horrendalnych ilości piasku. Wydawać by się mogło, że jest on wszędzie. Poniekąd, ale przy takim zapotrzebowaniu robi się problem, dodatkowo piasek piaskowi nierówny i ten z pustyni się nie nadaje. Odpowiedni jest ten z dna rzek i oceanów. Dlatego w Indiach powstają piaskowe mafie, a wśród fal znikają podkopane za mocno wyspy. Wydobycie surowca zabija lokalny ekosystem, dereguluje rzeki, prowadzi do powodzi, zmienia kierunki prądów i tworzy mnóstwo innych problemów. To nie tylko kolejny rozdział katastrofy ekologicznej, lecz także problem egzystencjalny. Współczesne budynki tworzone są ze zbrojonego betonu, tak zwanego żelbetu. W odróżnieniu od rzymskich konstrukcji nie wytrzymają one tysięcy lat. Z czasem żelazo rdzewieje i rozszerza się, krusząc beton. To, co teraz wydaje nam się tak solidne i trwałe, kiedyś rozsypie się w pył. Nawet nie zostawimy po sobie nagrobków.

3.

Stoję twarzą w twarz z martwą krową. W czarnych oczach widzę swoje odbicie. Wypchane pogłowie krowy wisi w kuchni na wysokości wzroku. Pod nim jest półka z kartonami mleka i napis “Muuuuu, jakie pyszne!”. Jak większość przedmiotów w tym mieszkaniu, to też jest dzieło sztuki. Wzdycham. Odkąd tu pracuję, zacząłem pić kawę z

owsianym mlekiem. Nie bardzo mi smakuje, ale w końcu zaczęli sprzedawać takie, które się pieni. Biorę kawę i schodzę na główne piętro. Ze schodów widzę centrum miasta. Podchodzę do samej szyby i patrzę w dół. Dachy samochodów przesuwają się jak w GTA2. Malutkie ludziki chodzą za swoimi sprawami. Wydają mi się zaprogramowane po to, by udawać życie. Z tej wysokości ruch uliczny traci swój zwykły chaos i nieregularności. W doskonałej ciszy jest precyzyjny jak mechanizm zegarka. Uspokaja mnie patrzenie w dół. Robię kolejne kroki. Przy samych schodach stoi cokół, a na nim ceramiczny dzbanek w kształcie ryby. Michał powiedział, że to Picasso. Widziałem wcześniej jego ceramikę w Berggruen w Berlinie. Wypalanie glinianych przedmiotów odkrył jako sześćdziesięciolatek, było to dla niego odpoczynkiem od malarstwa. Ryba powstała w 1952 roku. Jest w kolorze ceglanym jak greckie wazy, z czarnymi płetwami z czterech pociągnięć pędzla, takim też ogonem i kropkami na grzbiecie, z którego wyrasta uchwyt, bo w końcu jest to dzbanek. Stworzenie ma też białe okrągłe oczy i szeroki uśmiech. W odróżnieniu od krowy, co rano cieszy się na mój widok. Wygląda dość kreskówkowo i raczej nie należy do największych ceramicznych osiągnięć mistrza. Jest też kiepskim dzbankiem. Otwory ma na nosie i ogonie, ale oba bardzo małe, nie wiem, jak to umyć po użyciu. Sprawdziłem w internecie cenę, około 30 tys. dolarów. Patrzę na rybę, gdy z drugiego kąta sali słyszę powolne stukanie kroków pani Hofman, babci Michała.

Dzień dobry, panie Adrianie, woła uśmiechnięta. Jest ubrana w sukienkę w kolorze zaśniedziałej monety i o fakturze poskładanego pergaminu, czarne rajstopy i czarne derby, bo jako jedyna chodzi tu w butach. Trzyma się prosto, ma krótkie siwe włosy i czerwone usta. Nigdy nie widziałem jej dwa razy w tym samym stroju. Nie mam na imię Adrian, ani nawet podobnie, ale zawsze mnie tak nazywa.

Co u pana słychać, czy wszystko dobrze, pyta. Piszę, pani Hofman, piszę i nawet dobrze mi idzie. A to dobrze, proszę pisać, a czy widział pan Michała? Ostatnio nie za często, ostatnio kilka tygodni temu, proszę pani. Wielka szkoda, on w ogóle do mnie nie przychodzi, wie pan, panie Adrianie, Michaś to niestety jest nasze z mężem rozczarowanie.

Wzdycha jak ja przed krową i kontynuuje.

Michaś… co weźmie, to zepsuje. Wszystko miał podane na tacy, no i się z tacą wywrócił. Mówiłam synowi, krócej go trzymaj, niech się nauczy. Na przeszkodach człowiek się uczy! Nam nic nikt nie dał! Wszystko to własną pracą. Ale tak to jest. Jak się wszystko w

życiu ma, to potem nie docenia się tego. Teraz obcy ludzie zajmują się firmą, po tym jak Oluś… Ech, Michaś, Michaś…

Milczę i popijam kawę. Słyszę to za każdym razem, gdy ją widzę.

Ta ryba…, mówi niespodziewanie, a krótkie "a" przechodzi w smutne westchnienie. Synek mi ją kupił. Jego ostatni prezent dla mnie. Kto to widział, że dziecko przed matką… Ech.

4.

Ostatni raz widziałem Michała miesiąc temu. Poszliśmy razem na lunch do wegańskiego miejsca z falafelami i hummusem, niedaleko, po drugiej stronie alei Jana Pawła II. Knajpę prowadzi 40-letni Syryjczyk o wąskiej twarzy i surowym spojrzeniu. Jest zawsze bardzo poważny, ale życzliwy; wydaje się, że żyje w tym miejscu. Restauracja wygląda niepozornie i autentycznie, dokładnie tak jak lubię. Żadnych designerskich projektów, cegieł i ścian z roślin, tylko to, co właściciel uznał za ładne. Na ścianach są arabskie dekoracje, stare zdjęcia Damaszku i obraz z wirującym derwiszem. W kącie stoi tradycyjny strój do tańca brzucha. Pojawiają się też czasem zaskakujące elementy, jak cytat z Mickiewicza przy wejściu: niedaleko Damaszku siedział diabeł na daszku. W obsłudze pracują bardzo różni ludzie, chudy łysy facet mówiący po arabsku, młoda hinduska i starsza kobieta z Ukrainy lub Białorusi.

Stary, zajebiście że mi pokazałeś to miejsce, jest wspaniałe! Najlepsze falafele w Warszawie. Totalnie jak w Berlinie! Byłem tu ostatnio z grupą znajomych, wszystkim się mega podobało! Nawet Adamowi.

Michał mówił szybko i gwałtownie gestykulował. Był podekscytowany wszystkim, o czym opowiadał. Miał krótko ścięte włosy i gęstą szczecinkę porastającą okrągłe policzki i podbródek, który podrygiwał, gdy się śmiał.

Tylko widzisz, stary, problem jest taki że teraz wszyscy są, kurwa, tacy niesamowicie mili. Mili do granicy przemocy, rozumiesz, o co mi chodzi? Więc było tak, mówię wszystkim, ej, zamówmy wszystkiego po trochu, bo to przecież arabskie miejsce, tak się tam je, zapełniasz stół i dzielisz się wszystkim, każdy nakłada, co mu się podoba, wszyscy cieszą się, że są razem i bajla. No i zaczęło się: ale ja nie wiem, czy Adam może jeść bakłażana, hm, a ja się zastanawiam, może wezmę tylko zupę, no to im mówię, dobra, to weźmiemy wszystko, to każdy sobie wybierze, ok? Ok? No to parę osób mówi, że super pomysł, a parę, że nie wie, Adam siedzi w kącie, jakby miał sraczkę i sam nie

umiał mówić i tylko Ola cały czas zastanawia się, czy Adam chciałby jeść hummus czy raczej tabbouleh, i ktoś mówi, że może lepiej będzie, jeśli zamówimy osobno?

Wypowiedział "h" prześmiewczo głośno, wywrócił oczami, wysunął język i rozwarł szeroko ramiona.

Chryste, jeszcze zrozumiałbym, jakby to było drogie miejsce i ktoś nie chciał płacić za to, czego nie zje, ale tam zestaw kosztuje 25 zł, a oni naradzają się, jakby wybierali studia dla Adama, a ten siedzi i się nie odzywa. Wszyscy tacy dla siebie mili, że nie można podjąć żadnej wspólnej decyzji i każdy musi zamawiać osobno w arabskiej restauracji, bo przecież nie można narzucać nikomu swojego zdania. No to pomyślałem sobie, że chuj i już się nie będę odzywał, bo jeszcze Ola powie, że jestem przemocowy! Przemocowy, kurwa! Tak mi już raz powiedziała!

Zaśmiałem się, bo wszystko, co mówił Michał, zawsze wydawało się śmieszne. Może to przez jego gestykulację. Gdy coś opowiadał, to jakby mówił całym ciałem. Podskakiwał jak piłeczka, wyrzucał pierś do przodu, dłonie to w lewo, to w prawo i śmiał się, co chwila swoim śmiechem rubasznym i życzliwym. Jasne, rozumiałem, dlaczego Ola nazwała go przemocowym, czasem za bardzo narzucał się ze swoimi pomysłami, ale wiedziałem też, że robi to dlatego, że chce być blisko ludzi, chce być kumplem każdego i cieszy go to skracanie dystansu, ta nieskrępowana bliskość i otwartość.

Pamiętam jak spotkałem go po raz pierwszy. Było to na wernisażu w galerii na Foksal. Wypełniał sobą całą salę i nikt nie zwracał uwagi na wydrapane kredkami bazgroły na ścianach. Każda historia, którą Michał opowiada, brzmi jak film, nawet jeśli mówi, że rano wyniósł śmieci. Opowiadał wtedy mojej znajomej, że kupił urządzenie do gotowania ryżu w Hongkongu. Wchodzę do takiego małego zagraconego sklepiku, wszędzie jakieś dziwne urządzenia, a pomiędzy nimi taki mały pomarszczony facet, cały czas uśmiechnięty. Pytam go, mister, chciałbym takie urządzenie do gotowania ryżu, ale nie takie drogie jak to. Ale, ale, to jest bardzo dobre, bardzo dobre, mówił facet swoim pidgin engrish. Ja rozumiem, dobre, ale drogie, może wezmę to? Pokazałem jakieś mniejsze, słodkie, z buźką misia. Nie, to lepsze, powiedział sprzedawca. No wiem, wiem, ale nie mam tyle pieniędzy i tak to trwało, to ja poproszę to i pokazuję na zielonego misia do gotowania ryżu. Sprzedawca się zapowietrzył, kręcił głową i powiedział w końcu uroczo, tym swoim łamanym miękkim sylabizowanym angielskim: But it's not gonna be delicious!

Wszyscy wybuchli śmiechem, ryknęli, dosłownie, jakby to była najzabawniejsza historia, jaką ostatnio usłyszeli, może faktycznie była. Ja również śmiałem się i pamiętam, że pomyślałem sobie, kocham typa, taki śmieszek wśród znajomych to złoto.

5.

Siedzę przed komputerem i znudzony oglądam skróty piłkarskie. Nadchodzi pora obiadu. Restauracja na dole jest zamknięta i nie chce mi się iść nigdzie indziej. Wchodzę do najbliższego sklepu, nie lubię tego miejsca, bo mało w nim wegetariańskich rzeczy, o wegańskich nie wspominając. Trudno, kupię jajka, w końcu dzisiaj trening, potrzebuję protein. Biorę biojajka, paprykę i pomidory. To chociaż zamiast mleka wezmę owsiane, myślę sobie i wzrokiem trafiam na gazety. "Koniec z terrorem LGBT", deklaruje premier z okładki. Kolejny nagłówek: "Ekoparanoja lewactwa". Mdli mnie, jakbym sobie wbił te jajka w gardło.

Skurwysyny, mówię na głos, nieświadomie.

Skurwysyny?! Wy wszyscy jesteście skurwysyny w tych waszych ładnych płaszczykach i okularkach, sprzedajecie ten kraj, gnoje!

Stoi za mną gruba stara kobieta w okularach o szkłach grubych, jak szkła powiększające i krzyczy. Patrzę na nią, widzę kropelki śliny tryskające z jej ust i nienaturalnie białą protezę, ma przed sobą balkonik, na którym kiwa się rozjuszona, a jej wielkie szklane oczy napierają na mnie. Ściskam zakupy, odwracam się i idę do kasy. Słyszę, jak idzie za mną, postukując balkonikiem o kafle podłogi i wypluwa z siebie kolejne słowa.

To są patryjoci, oni ratują Polskę, ratują nasz naród, matce naszej najświętszej częstochowskiej go zawierzają, a ty kim jesteś gnoju, kim ty przy nich jesteś glisto? skurwysyny, ma czelność gówniarz, skurwysyny, wstydu nie masz, ty przy nich jesteś nikim, ty mógłbyś im podeszwy, buty czyścić, panu premierowi i panu prezydentowi, ty pedale w ładnym płaszczyku, słyszę zza regałów.

Wymijam koszyk zastawiający alejkę, babsko zaklinuje się i zdążę zapłacić, chuj jej w te szklane oczy. Płacę w kasie samoobsługowej, kasjerka obok patrzy zdumiona, jak sarna przy torach, to na mnie, to na regał zza którego lecą przekleństwa i za którym tłucze się babsko. Spadają jakieś słoiki, i bardzo dobrze, myślę, zesrasz się jak zobaczysz, ile potrafią kosztować kiszone bioburaki, głupia babo, mam nadzieję, że cię tym obciążą, za Polskę, pierdol się.

Wychodzę ze sklepu, parują ze mnie nerwy, idę na autopilocie, a zimny wiatr chłodzi mi twarz. Wznoszę się przez kolejne piętra, zamknięty w czystej marmurowo-szklanej windzie i myślę o tym pojebanym świecie. Nawet nie chodzi o Polskę. Nie uważam, żeby ten kraj był jakoś specjalnie spaczony. Wręcz przeciwnie. Nikt tu nie porywa dzieci, żeby przejąć władzę, nie zatruwa opozycjonistów, przynajmniej nie teraz. Miliarderzy nie znikają nagle na miesiąc, by powrócić w końcu milczący i spolegliwi. Myślę o pojebanym ludzkim świecie, który sami sobie stwarzamy. O cierpieniu, podziałach, wojnach i bólu, aż dzwoni winda i rozsuwają się drzwi i przypominam sobie, że jestem głodny.

6.

Rozbijam jajka i bełtam je w misce, kiedy orientuję się, że zapomniałem kupić mleko owsiane, a chciałem zrobić omlet. Patrzę na krowę, ta odpowiada tym samym co zwykle obojętnym spojrzeniem. Jest cicho, słyszę tylko pomruk systemu wentylacyjnego. Trudno, myślę sobie i biorę jedno z muuu-jakich-pysznych kartonów, sprawdzam datę ważności i dolewam dwie łyżki do jajek. Mikstura syczy na patelni i pachnie jak wakacje u dziadków. To wspomnienie mnie rozwesela, przypominam sobie jabłecznik mojej babci i jeżdżenie traktorem dziadka, dni spędzone na zakopywaniu skarbów za starym poniemieckim domem i tresowaniu kaczek. Przepraszam, mówię do krowy, nalewam sobie szklankę mleka i schodzę zjeść w głównej sali. Idę po schodach i patrzę na ulicę prowadzącą do centrum, pełną ludzi i transparentów. No tak, strajk klimatyczny, zapomniałem. Takie to dla mnie ważne, a po prostu zapomniałem. Ciepło wspomnień rozpływa się i zastępuje je rozczarowanie sobą, szare jak dym kościelnego kadzidła i wzbudzające we mnie podobne, wyuczone i automatyczne poczucie winy. Klapnięcie za klapnięciem, moje góralskie bambosze coraz wolniej zsuwają się ze szczytu schodów. Nagle nie trafiam stopą w stopień, tracę równowagę i ostatni metr przelatuję z talerzem przed sobą, omlet leci, ja łapię równowagę wśród strugi mleka, chwytając się cokołu z dzbankiem-rybą. Zły odruch. Widzę tylko jak picasso przechyla się, przetacza na brzuszku do krawędzi cokołu i spada, bardzo wolno, ale jest już za późno, nic nie mogę zrobić, tylko patrzę, zamykam oczy i słyszę trzask. Wolałbym, żeby to była moja kostka, ale wolałbym też, żeby nosorożce nie wymierały. Dzbanek, jeszcze przed chwilą cenniejszy niż większość samochodów na ulicy, teraz wart był dokładnie tyle, ile mój potłuczony talerz z omletem.

7.

Otwieram oczy i patrzę na swoje dzieło. Rozbite pomarańczowe skorupy, strugi mleka i omlet rozpryśnięty pośrodku jak słońce. Coś jakby Pollock spotkał Picassa. W sumie intrygujące.

Przy drzwiach stoi Michał. Nie usłyszałem jak wchodzi. Świetny moment, stary, uchwyciłeś akt stworzenia. Obracam w jego kierunku głowę, jakby szyja była jedynym ruchomym elementem mojego ciała. Jest cicho jak w poniedziałek po wyborach.

Odkupujesz, mówi do mnie i podbródek trzęsie mu się ze śmiechu. Mam nadzieje, że ci starzy kupili mieszkanie, przynajmniej będziesz miał co sprzedać.

To tylko 30 tysięcy dolarów, nie kilkaset, przypominam sobie i to mnie odrobinę pociesza. Nawet nie będę musiał pozbywać się mieszkania. Może rozłożę kwotę na raty, przeprowadzę się do domu rodziców, a swoją kawalerkę wynajmę i z opłat będę powoli spłacał dzbanek. W nietkniętym pokoju z dzieciństwa między limitowaną figurką Golluma i plastikowym modelem samolotu F-16 postawię sobie sklejonego kropelką picassa. Moje pierwsze dzieło sztuki. Michał parska śmiechem.

Mordo, koniec gapienia, zbieraj tę swoją mozaikę, zanim stara wróci z badania. Chcesz zrobić pamiątkowe zdjęcia, nie musisz, wszystko jest nagrane, mówi wskazując nosem kamerę.

Milczy, a w moich uszach dudni krew. Patrzy na mnie, unosząc dłoń. Pulchny palec skierowany w sufit, rozchyla usta, ale zamiast coś powiedzieć, zastyga na wdechu.

No już, idziesz ze mną do piwnicy. Wypuszcza z siebie słowa i celuje we mnie palcem.

Co? Stękam głupio, powłócząc za nim nogami.

Stój! Roznosisz mleko, będzie więcej sprzątania, ja to zrobię, mówi Michał i woła, pani Jolu, zrobił się nam tu bałaganik, rozlane!

Pani Jola przychodzi znikąd i wymienia mi kapcie jak w F1. Michał bierze mnie za ramię, chodź, idziemy do piwnicy, chcę ci coś pokazać, mówi, i wchodzimy do windy, dzwonek, suniemy w dół, aż zatyka mi uszy. Jestem zdezorientowany, jakby ktoś obok mnie roztrzaskał się na słupie. Nie patrzymy na siebie.

Nie przestrasz się tej folii w przejściu, uśmiecha się i zerka na mnie. Wiesz, tam na dole mamy ciągły remont. Przecież nie jestem szajbusem, heh.

Nie powiem, żeby mnie to uspokoiło.

Dzwonek, otwierają się drzwi, wchodzimy do piwnicy. Nie żartował z tą folią. W półmroku widzę rzędy regałów, jak w magazynie sklepu wysyłkowego. Jest chłodno i

pachnie świeżym cementem. Michał wpisuje coś na dotykowym panelu przy wejściu. Włączają się światła i niebieska linia na podłodze prowadzi nas do wskazanej półki. Sześć ryb szczerzy do mnie pyski. Nie widzę w ich uśmiechach radości jak jeszcze dzisiaj rano. To bardziej kłamliwe grymasy sprzedawcy ubezpieczeń, który wie, że sprzedał klientowi niepotrzebny produkt.

Znalazłem takiego pana Stanisława spod Bolesławca, mówi Michał, spoglądając na mnie, który mi powypalał ryby i na wszelki wypadek wziąłem więcej. Bardzo zdolny człowiek. Stara nawet bez demencji nie poznałaby, że to falsyfikaty.

Ryby-dzbanki mnożą mi się przed oczami. Śmieją się, śmieją się jak koty z Cheshire.

Gdzie jest oryginał? – pytam w końcu, odrętwiały, z otwartymi ustami i tępym spojrzeniem.

Sprzedałem, odpowiada bez chwili wahania i wzrusza ramionami. Nie w moim guście.

To było od jej syna, pytam, twojego ojca, prawda?

Tak.

Michał marszczy czoło i obraca się do mnie. Czyli jednak ma jakieś wątpliwości?

Masz stary szczęście, że mi kot zbił czajniczek w domu, mówi, a zafrasowanie zmienia się w rozbawienie. Wtedy pomyślałem, że lepiej powymieniać te wszystkie drogie pierdółki na kopie. No i patrz, dobrze zrobiłem.

8.

Wychodzę z budynku. Na zewnątrz jest już ciemno. Kompletnie nic dzisiaj nie napisałem, jednak nie czuję się z tym źle. W lewej ręce trzymam worek na śmieci ze szczątkami rzekomego picassa, w prawej pomarańczową rybę pana Stanisława z Bolesławca, którą Michał dał mi w prezencie. Nie wiem, gdzie wyrzucić worek, wrzucam do zmieszanych. Czuję wibrację, czytam powiadomienia: wojna w Etiopii eskaluje, chińska tenisistka zniknęła po oskarżeniu oficjela o napaść, bitcoin spada o 30%. Wzdycham i usuwam aplikacje newsowe z telefonu. Francuska piekarnia wciąż otwarta, wewnątrz jest przyjemnie ciepło i pachnie świeżym pieczywem. Zamawiam kawę na owsianym na wynos, smakuje wspaniale. Wkładam rybę pod pachę i idę na przystanek. Mijam żółte daszki metra. Czekam, dziesięć, dwadzieścia minut, ale tramwaj nie nadjeżdża. Zamyślony nie zauważyłem nawet, że wokół jest całkiem pusto, nie ma ani samochodów, ani komunikacji. Miałem nie używać, ale trudno, wyjątkowo zamówię ubera. Na ekranie

pojawia się powiadomienie: Z powodu protestów czas oczekiwania jest dłuższy niż zazwyczaj. Przepraszamy za niedogodności.

Strajk klimatyczny, no przecież. Wzruszam ramionami, dopijam kawę. W takim razie przejdę się na trening piechotą.

Patrycja Mierzejewska

prozaiczka i poetka. Uczestniczka Pracowni Otwartych Prozą 2021 oraz Pracowni Otwartych Wierszem 2022. Zdobywczyni wyróżnień w konkursach: I Ogólnopolskim Konkursie Literackim im. Wandy Dobaczewskiej „Na chwałę słońca" oraz Ogólnopolskim Konkursie Literackim „W leśnej głuszy wśród fabrycznego dymu". Zawodowo związana z Wrocławiem, emocjonalnie z lubuskimi lasami, gdzie w oczekiwaniu na apokalipsę podgląda dzikie zwierzęta.

Mieszka we mnie Wanda

Przemyciła mi się pocztą, muszę przyznać, sprytnie to wymyśliła. Pasażerka na gapę, zredukowana do wspomnień. Kontrola graniczna nie wykazała w przesyłce żadnych nieprawidłowości, niczego nie zgłoszono do oclenia. Odczekała parę lat, umierając, w międzyczasie pozwoliła mi uwierzyć, że to naprawdę koniec.

Dziesięć lat temu zamknąłem przed nią drzwi, zmieniłem zamki, założyłem łańcuch. Dzielące nas dwa tysiące kilometrów uznałem za bezpieczną odległość. Telefon, w okolicach każdych świąt pękający od natarczywych połączeń, odbierałem słowami: abonent na zawsze niedostępny, abonent na zawsze niedostępny. Żałosna skuteczność, efekt niezadowalający.

Usypiała moją czujność, czasem odpuszczając na długie, zimowe miesiące. Kiedy już prawie osiągałem upragniony spokój, pojawiała się znienacka, wraz z pierwszymi upalnymi dniami. Wracała do mnie w zapachu potu, którego nie był w stanie zamaskować żaden kosmetyk. Jakaś wyjątkowa, dziedziczna przypadłość, wciskana w helisy kolejnym pokoleniom. W lecie przeprowadzałem się pod prysznic. Woda na przemian ciepła i zimna, gąbka naturalna i mydło w kostce. W okresach nasilenia objawów – ług i dezynfekcja.

Od dwóch lat, nie licząc pojedynczych epizodów, zaczęła w końcu odpuszczać. A może to czas zadziałał tak, jak zawsze obiecywano. Przeprowadziłem się na północ kraju, w rejon, gdzie zamglone przez trzysta dni w roku słońce nie podnosi temperatury do niebezpiecznych wartości. Rodzina coraz rzadziej wspominała o niej podczas sporadycznych rozmów. Testament otwarto, nagrobek zamówiono, ziemia wystarczająco się uleżała.

Przesyłka przyszła tydzień temu. Nieświadomy zagrożenia, odtworzyłem paczkę nadaną w rodzinnym mieście. Przesadnie sterylne pismo matki odcinało się od tła szarego zawiniątka. Synku, babcia wiedziała, że szyjesz. Na pewno chciałaby, żebyś miał jej najlepszą sukienkę.

Od tygodnia nie wychodzę z domu. Podkręciłem kaloryfery, zamknąłem szczelnie okna. Patrzę w jej oczy, kiedy przybieram najdziwniejsze pozy w pożółkłych od potu koronkach, a uśmiech zamiera mi na ustach na kolejnych selfie.

Sonia Pohl

– prawniczka, analityczka, raczkująca reportażystka. Pochodzi ze Śląska, od dekady mieszka w Krakowie. Debiutowała na łamach Tygodnika Powszechnego tesktem „Lato bez domu – skąd się biorą kwatery nad morzem?”. Współautorka książki *Jutro nie mieści się w głowie.* Aktualnie pracuje nad morską opowieścią. Regularnie wdycha jod.

Cichosza

Zepsułam się. Niestety. Lepiej się przyznać od razu, wtedy podobno mniej boli.

Byliśmy sobie, ja i mój brzuch, mój biedny brzuch, razem. Tak jak to często bywa – żadna z nas dobrana para. Zły wpływ miał na mnie, że tak powiem. Przez niego zawsze kiedy byliśmy w towarzystwie, zaniżano mój, to znaczy nasz, status społeczny. Bowiem mój brzuch miał tę nieciekawą cechę, tak potępianą przez wielu, że odzywał się niepytany i to w najmniej oczekiwanych momentach. Jak już zaczynał mówić, to trudno mu było skończyć.

Uciszanie nie jest moją specjalnością, choć przysięgam, że próbowałam wszystkiego. Zalewałam go miętą, ziółkami wszelkimi, żeby się trochę uspokoił, nie chojraczył za bardzo, aż tak nie cwaniakował. Myślałam, że może z głodu tak papla. Zaczęłam więc podawać mu kisiel albo budyniowate cokolwiek, by mu usta zwyczajnie zakleić. Ale działało to krótko. Oswetrowanie się też nie pomagało, bo brzuch gadał przez dziurki. Gadał nawet więcej i chichotał, że łaskocze.

Zdarzało mu się rozważać jakieś porąbane historie, nierzadko tematy kalibru ciężkiego, czyli takie, które obciążają żołądek. Potem przez kilka dni cierpieliśmy na zgagę. Czasem zachowywał się jak dziad, który chciałby powiedzieć coś mądrego, ale nie potrafi, dlatego lepiej polać mu jeszcze jednego, żeby najzwyczajniej zasnął. Tak go często traktowałam. Polewałam mu do snu. Nawet skutkowało. Trochę pośpiewał, przybełkował coś, a potem szybciutko lulu.

Gdy się tylko zorientował, że go podstępem odcinam, zrobił się agresywny. Kłóciliśmy się. Robił mi wyrzuty. Gdyby miał pięści, to by mnie może uderzył, kopnął od środka, ale spryciarz kończyn nawet nie potrzebował. Wystarczyło, że się czegoś nażarł i od razu zaczął boleć.

Najpierw myślałam, że się jakoś pogodzimy. Na wszelki wypadek jadłam tylko to, co zdrowe, żeby nie dawać mu satysfakcji. Gotowane warzywa. Żadnych chipsów. Żadnych bąbelków w lemoniadzie. Nawet żelki odstawiłam. Nic to nie dało. Uparł się, żeby mnie załatwić na amen.

Więc się zaczęłam głodzić. Żeby już nie miał siły nic powiedzieć. Kwilił jak małe dziecko w środku nocy. Tak mi go było żal, że sama mu śpiewałam kołysanki do snu. A ten sukinsyn w sercu, znaczy w brzuchu, za grosz wdzięczności, bo dobijał mnie już następnego ranka. Siekał bólem tak promieniującym, że trzeba było nawet wodę wypluć, bo tylko ona stała w jelitach.

Wreszcie zdecydowałam się na ostateczny ruch – na cios prosto w brzuch.

Apelowałam do wszystkich lekarzy na etatach i prywatnych klinikach, którzy mieli wcześniej do czynienia z brzuchem jako bytem niesfornym i niemal niezależnym – zależało mi na szybkiej operacji z gwarancją milczenia.

Uważam, że każdy ma święte prawo do ciszy. Kiedy nic nie burczy i nie ma żadnej niepokojącej anomalii. Kiedy człowiek ma spokój, bo nie musi ze sobą cały dzień walczyć, dokładać starań, by zachować pozory, jak to mówią, normalności.

No więc wycięli mi to, znaczy ten głos z głębi brzucha.

Najpierw długo szukali. Chirurg grzebał skalpelem, smyrgało. Na znieczuleniu, bezboleśnie. Co do wykonania nie mam żadnych zarzutów. Sprawnie to wyciągnął. W rękawiczce podstawił pod nos, żeby pokazać. Wyglądało jak kamyczek, taki zwykły, nieświecący. Myślałam, że ładniejszy będzie, szczerze mówiąc. Ten mój głos.

Przez dwa tygodnie było mi cicho, dobrze i spokojnie. Telewizor mówił i nic mu nie przerywało. Mogłam iść do kina bez obawy, że w najczulszej scenie mój brzuch rozrechocze się na cały regulator albo że będzie przedrzeźniał ludzi w sklepie i komentował, co sobie nabrali do koszyków. Że od batoników cukrzyca, a od bobu bąki. No wstyd.

Ale czasem rzucał coś zupełnie uroczego. Jak wtedy, do tego pijaczka na przystanku. Że ma ładne dołeczki i życzy mu dobrej wódeczki.

Po miesiącu nie wytrzymałam. Głucho mi było, pusto przeraźliwie. Nawet sny się stały milczące jak w niemych filmach. Jakby się ktoś na mnie zeźlił, że sobie głos wycięłam.

Podsłuchiwałam sąsiadów. Ze szklanką przy ścianach stawałam, bo mi się tak nudziło, ale ściany mają chyba w środku watę, bo tylko jakiś bełkot do mnie docierał.

Dzwoniłam do koleżanek, ale żadna nie miała czasu, żeby ze mną gadać cały dzień.

Równiuteńko po trzydziestu dniach udałam się do gabinetu zapytać, czy gdybym chciała się naprawić, to czy mi to wróci. Lekarz oznajmił, że się nie podejmie, bo to ryzykowne. Zawsze tak jest, smarkate gówniary, dodał, nic nie myślą, a potem płacz.

No więc teraz cisza prawie grobowa, a ja muszę się z nią mierzyć. Trzymam ten kamyczek, co mi chirurg dał w szkatułce w łazience. Mam taką ładną podróbkę tych ruskich jajek, faberże.

Otwieram ją rano, nasłuchuję. Sprawdzam, czy może padnie jakieś słowo, żarcik choćby jeden. Ale nie. Trochę szumi jak muszla, tylko nieco inaczej. Smutniej.

I mi też nie jest już jakoś wcale do śmiechu.

Aleksy Poklękowski

– urodzony w Gdańsku, mieszka w Pelplinie. Publikował w *Stronie Czynnej* i *Almanachu Twórczości Artystycznej Studentów UG*.

Księga przyrody

Kiedy byłam mała, to razem z dziadkiem (od strony ojca) oglądałam kiedyś taką książeczkę. Nazywała się *Księga przyrody*, miała zieloną okładkę i złotą obwolutę.

W niej zaś był obrazek przedziwnego, fantastycznego stworzenia, wyglądającego jak kolczasty smok, o łuskach koloru piachu. Pod nim widniał podpis: „Moloch straszliwy to jaszczurka żyjąca wyłącznie na pustyniach australijskich".

Moloch straszliwy! Byłam zachwycona – wyobrażałam sobie biednych Australijczyków uciekających przed tym straszliwym, wspaniałym potworem, zapewne zionącym ogniem, i chowającym gdzieś dla niepoznaki swoje monstrualne skrzydła. Tych oczywiście na obrazku nie było – nikt przecież nie mógł zobaczyć Molocha w ostatecznej formie, nikt bowiem nie mógłby przeżyć z nim spotkania, kiedy pokazałby swą prawdziwą, smoczą naturę.

U nas, w Gdyni, na Grabówku, nie było smoków, i bardzo mnie to smuciło.

Naturalnie zawsze już odtąd nagabywałam dziadka, uparcie dopytywałam – czy podczas swych podróży przedziwnych i dalekich widziałeś kiedyś Molocha straszliwego, siejącego postrach na australijskich pustyniach? Nie, moja mała, moja droga, niestety nie.

W takich chwilach, przy takich spotkaniach, moja mama wyjmowała z szafy pamiątki po swym ojcu, moim drugim dziadku, którego nigdy nie zdążyłam porządnie poznać. Pamiątki pochodziły z Australii, i były doprawdy paskudne na sposób nie do opisania – dlatego musisz zobaczyć je na własne oczy, stoją o tam, na półce. No, i mama zawsze wtedy opowiadała, że tak jak dziadek Jarek, tak i dziadek Józef pływał, i podróżował. Kawał świata zwiedził, także i Australię. A czy Molocha widział? Tego ci już niestety, moja kochana, nie powiem.

Dziadkowie już mi nic nie opowiedzą, mama z roku na rok pamięta coraz mniej. Zostanę więc tylko z tą mgłą, podobną do tej czasami rozpościerającej się nad Bałtykiem – kiedy wyłowisz czasami gdzieś w oddali wyłowisz pojedynczą rozmytą sylwetkę, poza tym jednak błądzisz i błądzisz. Ale fale wciąż szumią, przypominają że gdzieś, mimo że niewidoczne, to jednak cierpliwie czeka – morze. A za nim dalekie porty, odległe miasta, i wszystko to do zobaczenia, wszystko to do zwiedzenia. Tak, może moja rodzina coś zgubiła po drodze w tej mgle, ale ja to odzyskam. Zobaczysz.

Zresztą już zaczęłam. Będąc w gimnazjum, odnalazłam zakopaną w piwnicy *Księgę przyrody*. Zaczęłam interesować się więcej i Molochem, i samą Australią. Kiedyś tam

dotrę – Gdynia to w końcu brama na świat, prawda? I zobaczę tego Molocha, dla dziadków, i dla mamy. Tak, może to ckliwe. Trudno.

A teraz chodźmy już, chodź, dzielny, małomiasteczkowy podróżniku. Pokażę ci prawdziwe miasto, zgodnie z obietnicą. Nasz pomorski cud, perłę północy, raj poszukiwaczy przygód i przemytników, romantycznych złodziei i karczemnych opowieści o Szwedach, Duńczykach i Australijczykach.

Oto i Gdynia jak malowana – szarą farbą na szarym płótnie.

Nie wiem, czy podoba mi się to, że tak ci się tutaj podoba.

Nie, zachwycasz się tylko dlatego, bo jesteś turystą, i to do tego dziwnym, bo oddającym hołdy tym pseudomodernistycznym potworkom. Co cię tak pociąga w betonowych blokach wbitych sztucznie w krawędź lasu? Ano faktycznie, idą wszystkie tak jakoś pod górkę. Piętro za piętrem, coraz wyżej i wyżej. Tam, u góry, dociera już niewiele autobusów, a lokalnych wiewiórek jest pewnie więcej niż ludzi. Tylko te blokowiska, sztuczna granica na skraju miasta, pnący się do nieba mur.

Tak mi się tylko powiedziało. Sam widzisz, że tak naprawdę nie ma w nich nic majestatycznego. To nie kwestia gustu, to obiektywny fakt. Nie jesteśmy w Licheniu albo innym Krakowie, żebyś mi się tu podniecał jakimś majestatem.

Nie jestem tylko pewna, czy powinieneś był brać ze sobą plecak – uprzejmie ostrzegam, że droga będzie stroma, zmęczysz się, spocisz. Możemy jeszcze odnieść. Nie? Twój wybór.

O tam, po drugiej stronie ulicy, zobacz – tam mieszkała babcia Marta, w tamtej kamieniczce. Pamiętam, że kiedyś przegryzłam u niej szklankę, gdy byłam mała, właśnie w tamtym mieszkaniu. Babcia stała i się śmiała. A wiesz, że nie wiem? Ktoś to musiał sprzedać po jej śmierci, bo nie ma tam teraz żadnej rodziny. A szkoda, bo chciałabym tam kiedyś zajrzeć.

Ją pamiętam najlepiej. Obie babcie mi ledwie mignęły, mrugnęłam raz, dwa, i już ich nie było. A ta zdążyła jeszcze przekazać mi trochę swojego śmiechu i swoje imię.

Też była podróżniczką. Przybyła do Gdyni po wojnie, z Kaszub. Tak, musiała znać kaszubski, i nie, nie oznacza to, że sama jestem Kaszubką. Może nawet czasami chciałabym być, ale to po prostu nie ja, nie my, nie moja rodzina. Zresztą nawet jeśli mówiła, to nie przekazała tego dalej.

Podobno była zachwycona Gdynią. Doceniała, że nagle wszędzie ma blisko – do apteki, lekarza, sklepu i kościoła. Tak, w młodości odbyła więc wielką podróż, ale potem weszła

już całkiem w tę miejskość, i to właśnie, a nie język kaszubski, przekazała swojej córce, wnuczce i prawnuczce. Dlatego ja nie mogłabym mieszkać na wsi, spędziłam tam może w sumie ze dwa tygodnie z całego życia, w czasie jakichś przypadkowych wakacji. Te puste, płaskie, ogromne przestrzenie, nad którymi górowały jedynie wały odgradzające nas od Wisły. Przytłaczało mnie to. I wiesz, sama znam ludzi, którzy wyjeżdżają od nas na różne wsie. Nie rozumiem ich. Nieważne, dokąd wyjeżdżam, nawet jeśli jakiś górski szczyt odbierze mi oddech albo zachwyci daleki norweski fiord – i tak zawsze muszę tutaj wrócić.

Dzień dobry, pani Halino! A taka znajoma rodziny, mieszka na parafii, jej mąż grał na organach. Dziwnie widzieć ją teraz samą – całe życie występowali dla mnie w parze. Mam wrażenie że spotykałam ich zawsze, kiedy tylko wychodziłam z domu na spacer – tak jakby nigdy nie kończyli podróżować, ciągle chodząc i chodząc. Dokąd tak pędzili, co ich gnało, że zamiast rozwiązywać krzyżówki albo popijać herbatę, ciągle szli i szli? A teraz zobacz – rok niedługo minie jak pan Marek zmarł, a ta dalej podróżuje, tyle że sama, i jeszcze się do nas uśmiechnęła, tak jakby mogła być szczęśliwa, zostając wdową po pięćdziesięciu latach małżeństwa. Dokąd zmierzasz samotnie, pani Halino? I co cię w tej podróży tak raduje?

Co mówisz? Nie, nie zgodzę się. Nie musi być tak źle. Ale chyba nie mieli dzieci. Bo masz rację, tak pewnie byłoby gorzej. Babcia Marta tak miała – przeżyła wszystkie swoje dzieci. Wszystkie, a oprócz mojej babci miała ich jeszcze z trójkę czy czwórkę. Przerażające. Cała gromadka zdążyła się zestarzeć – ich dzieci miały już własne dzieci – i umarły. Bez zaskoczenia, spokojnie, przechodząc ostatecznie przez większość tego, co człowiek w jednym istnieniu może przejść.

A babcia Marta stała z boku i patrzyła na to wszystko, nie mogąc nic zrobić, trwając i trwając. I zmarła dopiero po tym, jak odszedł jej ostatni syn.

A mówiłam, żebyś plecak zostawił u mnie! To nie jest łatwa trasa, cały czas pod górkę, łap oddech, łap. Ale spokojnie, do cmentarza już niedaleko. Widzisz jak drzewa się przerzedzają? Tak, tu spoczywają. I las nad nimi szumi, i fale nieco dalej. Wiesz może jak właściwie przemieszczają się płyty tektoniczne i ziemia pod nami? Czy jest możliwe, że dziadkowie, babcia i prababcia przewędrowali gdzieś pod muliste bałtyckie dno, a ja modlę się nad pustymi grobowcami?

Nie, idziemy dalej. Spokojnie, zdążysz na swój pociąg powrotny. Chciałam pokazać ci jeszcze nasz las.

Nie było mnie tutaj od wielu lat. Śmieszne, prawda? Często przecież wędrowałam tutaj, czy to z Emilką, czy to z innymi koleżankami, wracając ze szkoły. Wtedy też trafiałyśmy na teren dawnej jednostki wojskowej. Zawsze tutaj, zawsze przypadkiem, jakby ruiny wyrastały tuż przed linią naszego wzroku, ciągle w innych miejscach, byleby tylko móc zawsze się nam objawić. Bo widzisz, ten las jest przesiąknięty miastem, obleziony przez Gdynian ze wszystkich stron, tylko ludzie i dziki, które ewentualnie w odwecie zstępują grzebać po naszych śmietnikach. Tak więc i drzewa muszą się mieszać z tymi ruinami, beton niby pęka i rozpada się, i z roku na rok coraz go mniej – ale gdzie indziej już dawno by go pochłonął las.

Odkąd Emilka wyemigrowała, a z resztą dziewczyn straciłam kontakt, wędrowałam po lesie rzadziej, i zawsze samotnie – musiałam wtedy wielokrotnie krążyć wokół tego miejsca, może nawet jakieś pojedyncze ruiny prześwitywały mi, wraz z promieniami słońca, przez liście – ale ponownie stanęłam pośrodku tego niczego dopiero dzisiaj, z tobą.

Brakuje paru budynków. Ktoś musiał przyjechać i rozebrać. Czy przybywali stopniowo, raz na parę lat, za każdym razem zabierając ze sobą jedną ruinę? Czy była to kwestia jednej nocy, popis ludzkiej sprawczości? A przecież niektóre pozostały – śmieszne, nieodpowiednie kikuty, niczym pojedyncze drzewa wystające ponad typowy, wybetonowany rynek każdego polskiego miasteczka. Najpierw, tuż po zlikwidowaniu jednostki, musiano zabrać stąd cały sprzęt, wszystkie bronie, okablowania, pojazdy, przepustki. Potem odeszli stale przebywający tu ludzie – ich następcy byli już tu gośćmi, ciekawskimi postronnymi, szukającymi przygody i skarbów. Ciekawe, czy jakiś dawny poborowy wraca tu po latach, wiedziony mieszanką nostalgii i satysfakcji. To były czasy, nauczyli mnie tutaj prawdziwego życia, czy raczej: niech las to żre? Las oczywiście żre i tak, goście tylko trochę albo pomagają, okazyjnie coś rozwalając, albo przeszkadzają, przejmując tę strefę z powrotem dla ludzi. Bo tak naprawdę, tak na stałe, to wyjechali.

Jak Emilka. Pamiętam, jak jeszcze w liceum chodziłam z nią po tych lasach, pamiętam. Już wtedy wiedziała, że chce studiować w Anglii, prosiła więc, abyśmy podczas naszych spacerów rozmawiały po angielsku. Czasami żałuję że nie wyjechałam razem z nią. Że się nie zdecydowałam. Teraz, wraz ze swoim mężem, znowu emigrują, do – nie zgadniesz – Australii. Ja też podróżuję, zwiedzam kolejne wioski, miasta i państwa, ale zawsze wracam. Czy gdybym wtedy wyjechała, to czy Gdynia przyciągnęłaby mnie i tak z powrotem? Mam w sobie krew obieżyświatów, ale i mojej mamy, która tutaj się

urodziła, wszystko przeżyła, i tutaj umrze. I niczego nie żałuje, i jest zadowolona, kiedy mówi mi: ojciec mój pływał, i ojciec twojego ojca pływał, a mnie nigdzie nigdy nie wywiało. I jest mi dobrze tutaj, na miejscu.

I mnie jest tutaj dobrze. I nie jest dobrze. Czasami aż mnie rozsadza w środku, że aż mam ochotę wpakować się w środku nocy w pierwszy lepszy pociąg – do Warszawy, Berlina, Pragi. A czasami cisza, spokój, gdyńskie działki należące do Bóg wie kogo. Zresztą spójrz jak tu jest pięknie. Tak, dotarliśmy na szczyt, na mój własny, prywatny punkt widokowy na moje miasto. Teraz będziemy już tylko schodzili i schodzili, daleko w dół, ale to zaraz. Zatrzymajmy się na chwilę. Popatrzmy. Wciąż jesteśmy, jak widzisz, na granicy – u nas, na Grabówku, może nawet w całej Gdyni, to się nigdy nie zmienia. Nasz las to pogranicze miasta, miasto to pogranicze lasu – a teraz jesteśmy w przejściu między przejściami, między nowym a starym budownictwem, między drzewami a zwykłem nieużytkiem. Dziki zbiegają w dół, i stary mężczyzna nielegalnie karczuje drzewo. I za nami stał kiedyś stary, zapuszczony, bluszczem opleciony dom – w dzieciństwie często zabierałam tam inne dzieci, wchodziliśmy na wyższe piętra, szukając duchów i strachów, nie bacząc na skrzypiące w podejrzany sposób podłogi. Tego domu już nie ma (tylko las za nim trwa i żre) – ale wciąż mamy te dziwne, półdzikie trawy z kamieniem i ogniskiem pośrodku. Tu chyba nigdy nie wybudują bloków. Za stromo tu, jednocześnie za bardzo w górę, i za bardzo w dół. Tak to tu wszystko trwa – między morzem i ziemią, Polakami, Niemcami i Kaszubami, lasem i miastem, Polską i emigracją, biedą, ubóstwem i bogactwem, cmentarzami i kwietnymi alejkami, i między tysiącami, tysiącami języków, które tutaj się wymieszały, splotły, aż powstałam ja, z jednym językiem o tysiącu obcych słów, i niczego już o sobie nie umiem powiedzieć.

Kiedy byłam mała, nie wiedziałam jeszcze, co to golden hour, po prostu przychodziłam tutaj zawsze o tej samej porze, i patrzyłam. Spoglądając na gdyński port w oddali, wyobrażałam sobie, że tak muszą wyglądać australijskie miasta. Jak Gdynia. To głupie, prawda? Czasami przychodziła wtedy jedna, dwie jaszczurki, takie typowe, malutkie, niepozorne polne zwinki, i układały się na kamieniu obok mnie. Jednocześnie chciałam je zgnieść i przytulić.

Katarzyna Woydyło

– (1992) przede wszystkim czytelniczka, potem filolożka. Absolwentka filologii germańskiej na Uniwersytecie Śląskim i Kursu Pisania Powieści KMLU. Zadebiutowała opowiadaniem *Opiekun* w *Stronie Czynnej*. Mieszka w Zabrzu.

Widziałem, jak komu we wsi spalił się dom, bo sam palił fajkę w stodole i zasnął. Ogień buchał nad krowami i stadem świń, z domu wybiegały w popłochu dzieci bez butów. Innym razem widziałem jak chłop, którego wszyscy znali, bo świeże jaja po wsi rozwoził, skuty kajdanami opuszczał wieś w wozie, któryśmy pierwszy raz na oczy widzieli. Zaczęli my rozpytywać wtedy po sobie, o co tam poszło, gdzie go wywożą. Tego samego wieczora wywieźli też jego kobietę. Dostojnie jechała, osobnym wozem, ubrana cała taka w czarny, świecący worek. Chłop już do wsi nie wrócił. My też już o niego nie rozpytywali.

***

Tego wieczoru wierciłem się pod sztywną pościelą, a w brzuchu przewracało mi się zepsutą kiełbasą. Mówiłem ja Ludce, że wszystko, co żyło, ma też swój żywot po śmierci. Nieważne, jak przerobione i czy flaki zebrane do jednego jelita, czy dwóch. Wszystko, co żywe, a potem wskrzeszone, umiera dwa razy. Dlatego, ja teraz też będę tak długo leżał i się przewracał z zepsutą kiełbasą w brzuchu, aż umrę. A wcześniej zwrócę to wszystko, com zeżarł łapczywie przed spaniem. Wyrzygam to wszystko trzy razy, tak, żeby kałuża dotarła wprost do jej łóżka. Żeby wiedziała, że to ona mnie tym cholerstwem potruła. Wtedy sobie o tym przypomni, jak wstanie z włosami zlepionymi kawałkami zaszlachtowanej świni, którą sam dla niej ubiłem. Już prawie wywracam się na tej kałuży, kiedy wychodzę. Przez błoto, przez trawę, za dwa stosy drewna. Do budy. Dziura przyjmuje mnie zdrowego, chorego i pijanego, przyjmuje mnie zawsze. Drewno nie wykrzywia się, kiedy klnę pod nosem, a klnę jak cholera na Ludkę, a potem zawieszam na gwoździu jej pomysł, by nic się nie zmarnowało. W końcu klnę na cały mój świat, który zamyka się w wychodku śmierdzącym gównem.

Kiedy wychodzę, czuję, że nie da się wypróżnić z tego, czego już nie ma. Moje jelita wykręcają się na drugą stronę, chcą mi pokazać, że więcej nie dadzą rady, że z pustego to i wiadomo. Już nas wypatroszyłeś, chłopie, chcą mi powiedzieć. Jesteśmy puste, to nie my tak ci przewracamy w brzuchu. To nie nasza wina, mówią mi w ostatnim ukłonie, po którym klękam przy ziemi, zanurzam nos w trawie i zwracam kiełbasę zaległą w żołądku.

Budzę się, kiedy niebo już nie wstydliwie niebieskie, a czarne. Gwiazdy są jedyną latarnią we wsi, w której na kilka godzin ktoś wyłączył pstryknięciem życie. Kwaśno mi

na policzku, do ust próbuje wleźć na nowo przeżuta, zmielona gadzina, którą żem wyrzygał niedawno. Wypluwam ją i odrzucam ciało na drugą stronę. Leżę na plecach chwilę, chwila jest długa, trwa jednak mniej niż pół nocy. Gdy świta, idę na pola posłuchać jak szumią trawy, które wiatr budzi chłodnym podmuchem. Może to ja w nie dmucham, nabieram powietrza do płuc, i dmucham pustką, bo nic mnie już nie wypełnia, dmucham do kresu sił, aż padam w trawach i daję się strawić gorączce.

Nie wiem jak z pola dostałem się na wzgórza oddalone ponad dwa kilometry od naszej chałupy. Przeszedłem je jednak dość szybko, skoro wciąż nie zdążył wstać dzień, a ja już na pochyłych trawach leżałem, choć jakby kto patrzył, to po trochu też stałem. Tak stroma była to góra.
Słońce łaskocze mnie nieśmiało po rękach, czoło jest jednak już tak nagrzane, jakbym nie spał tu chwilę, a kilka dni. Wdrapuję się resztą sił na sam szczyt, bo wiem, że nic gorszego mnie tu nie spotka. Najwyżej umrę i znajdzie mnie kto może dziś, może za miesiąc jak psy wypuści, a potem będzie je szukał po polach, aż zajdzie na wzgórza. Może psy zdążą już zjeść moje flaki i też zatrują się tak samo, jak ja tą kiełbasą i umrą. A je znajdzie jakie inne zwierzę i tak pół wsi wymorduje moja skromna osoba.

Opieram głowę na łokciach, leżę na brzuchu. Wygląda jakbym odpoczywał i się czemu przyglądał, ale tego nie robię, bo oczy mam ciasno zawarte. Kiedy je otwieram, czuję lekkie zdziwienie, ale przyćmione gorącem, więc pozostaje dla mnie takie jakby je kto wymyślił.

Daleko, dalej niż byłbym w stanie w tej chwili podejść, jest studnia. Nic dziwnego studnie tu spotkać, taka sama jest ta, jak wszystkie inne wokoło. Koło studni siedzi jednak chudziuchna kobieta z kawałkiem szmaty na rękach i zdaje się szeptać coś, poruszać ustami, chociaż słów ja nie słyszę, mimo że cicho jest wszędzie. Kobieta potrząsa kawałkiem zwiniętej chusty albo obrusu, cholera wie, potrząsa nim i zdaje się płakać, a przez łzy coś tłumaczyć.

Odpowiada jej cisza i moje burczenie w brzuchu.
Wiatr przystaje i czeka na to, co będzie dalej.

Spod chusty wypada kilka białawych loków. Włos jest tak jasny, że słońce przy nim to zaćmienie księżyca. Szukam ich więcej, ale z tej odległości widzę tylko kilka, które

przykrywa czerwień i zieleń. Kobieta przyciska zawiniątko do piersi, wciska je w nią tak, że wydaje się stawać jej częścią, chusta staje się płaska, a ja zastanawiam się, czy żem widział cokolwiek więcej, czy to tylko gorączka strzyże znów ze mnie głupka w obliczu tego, czego bym tak naprawdę nie chciał zobaczyć.

Może żem zasnął, bo na dłoniach odcisnęło się kilka kęp trawy, a w policzek zimno od ziemi. Strzepuję piach z twarzy, na dłoni nie znajduję nic więcej niż kilka trawiastych odcisków, a jednak podnoszę się znów na łokcie, bo dość już mam ziemi i zasypiania co chwilę gdzie bądź.
Czuję jakąś taką ciekawość, żeby sprawdzić, co z tamtą kobietą.

Ona dalej tam siedzi, nogi ma podkurczone pod zadkiem, spódnicę podwiniętą nad uda. Buja się w przód i w tył, a wtedy ja zaczynam się domyślać, co trzyma tak ciasno splątane pomiędzy rękami. Za każdym razem, gdy idzie w przód, kilka loków ślizga się w powietrze po chuście, a potem wraca pod nią z powrotem. Wyprostowana ściska to, co pod chustą mocniej, i to wtedy zanosi się jakby mocniej płaczem, którego tu nie umiem dosłyszeć.

Mimo że odczuwam jakieś takie zdenerwowanie, że nie widzę, co ta kobieta tam daleko wyprawia, co trzyma, a chciałbym, patrzenie na nią mnie uspokaja. Robi to w tym samym tempie, do przodu, do tyłu, siedzi i nawet nogi inaczej nie będzie przestawiać, co by rytmu gibania tym nie zakłócić. Wydaje mi się, że jak tak będę patrzył w jej stronę, to w końcu na powrót zasnę. Bardzo tego nie chciałem, ale coś mnie skłaniało, by zamknąć oczy, może powinienem to w porę zrobić. Powstrzymało mnie chyba jedynie to przed tym, że dwa kilometry co najmniej zostały, by wrócić do domu, do wyra móc się położyć i zasnąć w końcu jak człowiek na łóżku, a nie górce jakiej, gdzie pies nawet spać nie chce.

Powinienem był wrócić, nie dać się zaczarować temu tańczeniu w miejscu.

Wtedy nie musiałbym widzieć, jak na raz kobieta wstaje i wrzuca zawiniątko do studni.

***

Co żem zrobił by je obronić? Co zrobić bym mógł?

***

Ludka nie poczęła mnie szukać co świt, bo ja często wstaje z kurami i wychodzę się z rana powłóczyć. Dopiero przy obiedzie zniecierpliwienie zaparowało nad garnkiem, uchyliła więc wszystkie wieczka, by płynne nie zdążyło wykipieć i wyszła mnie szukać. Wołała mnie po imieniu, imieniem, jakie nadała mi matka, jakiego używał co do mnie i ojciec. Wołała głosem, do którego bym przylazł, gdyby kto mi powiedział, słyszałeś? Zawijaj dupę i w ogień skacz.

Skoczyłbym.

Wtedy jednak leżałem dwa kilometry dalej, skóra pod podkoszulkiem piekła mnie już tak, że zaczynała się to tu, to tam już rumienić, a ja nie dbałem o to wtedy szczególnie. Leżałem ozdrowiały i nie pamiętałem już krzywdy z ręki Ludki i jej wstrętnej kiełbasy. Nie mogłem otworzyć oczu i spojrzeć przed siebie. Nie mogłem zleźć z tej pieprzonej górki. W końcu nie mogłem oddychać, bo myśl, że nie zrobiłem nic, a tylko patrzyłem, chyba już wtedy mnie chciała dość mocno udusić.

Może jednak miałem tu umrzeć, tak jak żem myślał już na początku.

Może po to tu właśnie przyszedłem.

***

Po tym jak pozbyła się chusty – musiałem to sobie ciągle powtarzać – chusty i tylko chusty, weszła do domu. Nie widziałem nic więcej, przysięgam. Gdybym przecież zobaczył, to bym powiedział, bo po co miałbym właściwie kłamać? Gorączka? No ta, gorączka może i była, a jednak wiem, co widziałem. To nie zasługa gorączki, żem się przez chwilę odbijał w tych jasnych lokach. Może kawałek rączki też tam widziałem? Rąbek sinej nóżki pod chustą? Nie, nie, to już za wiele. Wiem o tym. Powiem tylko to, co żem widział naprawdę. Widziałem to, że wrzuciła chustę, a potem weszła z powrotem do domu. Wiatr wiał jak wcześniej, ja wydałem się zdrowieć. Cały świat dawał już wtedy znaki, że nic się nie stało. Jakby to panowie widzieli, to sami by pewnie stwierdzili, że w sumie to nic takiego. Kobieta siedziała, tańczyła bez ruchu z chustą. Może słońce witała, może wypłakać się chciała po ludzku. Nie mnie to oceniać. Ja tylko chory siedziałem i patrzyłem, bo co innego na górce o świcie robić, jak nie leżeć i na wiochę się gapić? Wiatr wiał jak wcześniej, ja wydałem się zdrowieć.

Cały świat chciał wierzyć, że nic się nie stało.

Basia Żakiewicz

urodzona w Krakowie, absolwentka Szkoły Pisania KMLU 2022/2023. Skończyła st udia, ale nie pamięta jakie. Pracuje jako menadżerka w korpo. Domatorka, która ko cha podróże oraz miłośniczka kundli. Czyta. Pisze. Marzy,
że na starość zostanie pisarką.

Pokój obok

Narty. Kask.

Masz wszystko?

Mama nie czeka na odpowiedź. Znika, a już po chwili wspina się na krzesło i sięga do pawlacza. Wypada na nią stary śpiwór z plamą po pisaku, której nic nie dało rady.

Nie jadę.

Mama udaje, że nie słyszy.

Gogle, skarpety.

Nie mam.

Nie masz skarpet?

Nie mam gogli.

Przecież miałaś.

Nie wiem gdzie są.

Po chwile gogle wylatują z pawlacza niczym wystrzelone ze śniegowej armatki.

Masz. Mówi i schodzi z krzesła.

Podnoszę je z podłogi i kładę na szafce.

Nie chcę jechać.

Przestań marudzić i pospiesz się. Mówiłam ci, że wyjeżdżamy po pracy, a ty specjalnie się grzebiesz.

A ja ci mówiłam, że nie chcę jechać.

Jak to nie chcesz? Lebiega z ciebie będzie, wszystkie koleżanki jeżdżą na nartach. Musisz ćwiczyć. Ja nie miałam takich możliwości! Ubieraj się. Raz, dwa.

Mamo, nie chcę. Naprawdę. Mówię, ale jednak wciągam na siebie spodnie narciarskie.

Nie interesuje mnie to! Nie po to haruję od rana do wieczora, żebym córki nie mogła na narty zabrać w ferie. Zresztą to blisko. Za kilka godzin będziemy z powrotem.

Kilka godzin to wieczność. Ona tego nie rozumie. Ona nic nie rozumie.

Mamo, jest ciemno.

Tak. Jazda wieczorem jest najlepsza.

Nie, najlepiej jest jeździć rano. Mówię tak, bo jestem na nią zła.

Przecież wiem, że rano nie może.

Rano przychodzi pani Henia. Na trzy godziny. Wtedy mama siada przy biurku w dużym pokoju i pisze na komputerze. I dzwoni. Strasznie dużo rozmawia przez telefon. Po południu przychodzi Wanda. Ta fajniejsza. Wtedy ja wracam ze szkoły i odgrzewam sobie obiad. Przeważnie drugie danie. Pierogi albo pieczone nóżki kurczaka. Mamy zasadę: jeden obiad na trzy dni. Żeby nie gotować codziennie. Jem w kuchni i słyszę, jak mama stuka w klawiaturę.

***

Dobra, wszystko. Możemy schodzić do auta. Wysikałaś się?

Nie.

To się wysikaj.

Nie chce mi się sikać.

To nie sikaj. Tylko żeby nie było, że ci się zachce zaraz, jak wyjedziemy.

Nie zachce mi się.

Okej. Idę na dół spakować rzeczy do samochodu, a ty weź swoje buty i też schodź.

Są za małe.

Mama stoi w drzwiach trzymając narty, kijki, plecak.

Jak to za małe, na litość boską?

Zwyczajnie, cisną mnie.

Czemu mówisz dopiero teraz?

Mówiłam ci!

Nie, nie mówiłaś!

Mówiłam, tylko zapomniałaś! O wszystkim zapominasz.

Jezu Magda, jaka ty jesteś. Tylko na złość mi robisz! Trudno, to będziesz bez butów jeździć!

MA - MO!

No co, mamo, mamo! Trzeba było powiedzieć wcześniej! Zawsze tylko nie, nie i nie, a potem mamo!

Jedź sama!

Mówię to specjalnie, bo wiem, że się wkurzy.

Ale tylko rozpina kurtkę w kolorze obranego kiwi, jakby to miało pomóc na za małe buty.

Dobra, trudno. Wypożyczymy na miejscu.
Chcę zostać w domu.
Bez dyskusji. Wychodzimy.

Zawsze stawia na swoim.

Na klatce schodowej mijamy panią Sowińską, sąsiadkę z dołu. Pani Sowińska ciągle patrzy na mnie tak, jakbym była brudna. Przecieram buzię dłonią na wszelki wypadek.
Pani Sowińska mówi mamie dzień dobry, a mama odpowiada jej pod nosem.
O, jak to pięknie, że pani zabiera dziecko na narty. Dziecko musi być na świeżym powietrzu.
Dziecko.
Czyli ja. Ale nie czuję się dzieckiem.

***

Ciemno i zimno.
Wsiadamy do auta. Ja z przodu, obok mamy.
W środku - igloo. Szron jest nawet na tym plastiku z przodu, pod przednią szybą.
Mama przekręca kluczyk i auto odpala. Potem wysiada, żeby zeskrobać lód z szyb.
Mogłabym jej pomóc, ale się nie ruszam. Ten lód mnie nie dotyczy.
Nie lubię nart.
Nie lubię mamy.
Jej spiętej twarzy, na której maluje się strach i złość.
Po chwili znowu widzę nasze osiedle. Plac zabaw wygląda, jak z „Krainy Lodu".
Mama wsiada do środka.
GPS włączę, sprawdzę, gdzie ten stok.
Jej głos brzmi trochę lżej, ale ja nie chcę, żeby była weselsza. Nienawidzę jej za te narty.
To ty nie wiesz, gdzie jedziemy? Pytam swoim najbardziej złośliwym tonem.
Ignoruje pytanie. Jest skoncentrowana na wykonaniu zadania. Jak zawsze. Tym razem zadaniem jest dowiezienie nas na stok. Poprawia duże lusterko, ustawia boczne, odsuwa fotel, a potem przysuwa go z powrotem. Zastanawiam się, dlaczego to robi. Wszystko powinna mieć już ustawione. Teraz tylko ona jeździ tym samochodem.

W końcu ruszamy.
Mama jedzie wolno. Zaciska zęby, marszczy czoło.
Przyglądam się jej ukradkiem.
Wygląda staro.
Iza ma ładną mamę. Młodą, która modnie się ubiera. Moja mama wygląda jakby nic się już jej nie chciało. Ale na narty to jej się chce!
Jedziemy w ciszy. Mama trzyma dwie ręce na kierownicy, na za dziesięć druga. Opowiadała, że tak ją nauczył dziadek. Mówiła też, że zmarł o tej godzinie, ale ja w to nie wierzę. Dużo rzeczy, które mówiła okazało się kłamstwem.

Włącz radio. Proszę i mama włącza radio.
Modlitwa. Zmienia stację. Mama się nie modli. Babcia mówi, że to grzech i że pójdzie do piekła. Nie rozumiem jak można gdzieś pójść po śmierci. Chyba, że jest się zombie. Ale może gdyby mama się modliła, wszystko byłoby inaczej? Może to wszystko to jej wina, bo nie chodzi do kościoła? Może gdybym ja się modliła, to nie pojechałybyśmy na te narty?
Leci piosenka, którą znam. Tata ją bardzo lubi. Muzyka gra przez chwilę, ale po chwili mama przełącza na jakieś tiru riru, ram pam pam.
Ale beznadzieja. Mówię, choć wiem, że ją to wkurzy.
Wkurza się i wyłącza radio.
Jak ci się nie podoba, to nie będziemy niczego słuchać.
Wzruszam ramionami, że niby mi wszystko jedno. Chciałabym posłuchać tamtej piosenki. Nirvana. Czy coś w tym stylu.

***

Pod stokiem samochody na zasypanym parkingu wyglądają jak resoraki, którymi się kiedyś bawiłam. Chyba wciąż mam je w szafie. W pokoju obok. Nie wiem czemu mi się to teraz przypomniało.
Pada śnieg. Powietrze pachnie czymś spalonym.
Wysiadaj i ubieraj się! Pójdę kupić karnety.

Patrzę na góry śniegu i robi mi się zimniej.

Nie mam ochoty jeździć!

Nawet mnie nie denerwuj! Kawał drogi przejechałyśmy, a ty nie chcesz jeździć?

Przecież mówiłaś, że to blisko! Poza tym, nie chciałam jechać!

Nie mam do ciebie siły!

Zostawia mnie. Kiedy wraca z karnetami, jest wściekła.

Czemu nie jesteś gotowa?

Nie mam butów!

Matko, rzeczywiście!

Wyciąga moje narty z bagażnika.

Chodź, pożyczymy.

Kolejka przed drewnianą budą jest spora.

Każdy chce coś wypożyczyć albo oddać. Albo naprawić. Jedna pani mówi, że wiązanie jej odpadło podczas jazdy i że to skandal, bo mogła się zabić. Śmieję się, bo wyobrażam sobie tę panią jadącą z góry na jednej narcie.

W końcu nasza kolej. Pan od nart wpatruje się we mnie jakbym gdzieś na czole miała napisany rozmiar stopy, którego nie może znaleźć.

Ile córka ma lat?

Dziesięć. Odpowiada mama i mruczy pod nosem, że od wieku chyba ważniejszy jest numer buta, na co pan odpowiada, żeby się tak nie dąsała, bo złość piękności szkodzi. Mama prostuje się i swoim najokropniejszym głosem mówi, żeby zamiast żartować pomógł jej z butami, bo chyba od tego jest, a nie od głupich, szowinistycznych dowcipów. Nie pamiętam, co znaczy szowinistyczne. Pan odpowiada, że woli obsługiwać wesołe i uśmiechnięte klientki, których na szczęście nie brakuje i odwraca się w stronę pani w różowej czapce z rogami renifera.

Twarz mamy zamienia się w lodową skorupę.

Na szczęście zjawia się młodszy, fajniejszy pan i podaje mamie parę butów dla mnie. Jest ohydna, ale się nie odzywam. Chcę tylko stamtąd wyjść.

Siadam na wilgotnej ławce. Ciężko je zapiąć i mama prosi o pomoc, ale nikt jej nie słyszy. Rozpina swoją kurtkę w kolorze obranego kiwi, zdejmuje czapkę, klęka przede mną na brudnej podłodze i próbuje dopiąć lewy but.

Kiedy się pochyla, widzę czubek jej głowy, a na nim siwe włosy.

To już oficjalne.

Mama jest starą babą.

Nie wiem czemu, ale mnie to złości.

Wracamy do samochodu.

Gogle załóż.

Krew odpływa mi z twarzy.

Nie wzięłam. Mówię i jest mi głupio.

Jak to nie wzięłaś?

Zostały na szafce w przedpokoju. Odpowiadam, choć chciałabym powiedzieć, że przepraszam.

Magda, przed chwilą byłyśmy w wypożyczalni. Czemu nic nie powiedziałaś?!

Zapomniałam.

Nie dasz rady jeździć bez gogli, strasznie śnieży!

Mama ma rację. Mocno śnieży.

Poczekaj. Mówi i znika wśród płatków śniegu. Jakby coś wciągnęło ją do zepsutego telewizora. Jak jej nie ma, jestem na nią trochę mniej zła. Zaczynam się bać, że w ogóle nie wróci, ale wtedy pojawia się z goglami w ręce. Podaje mi je ze zwycięskim ta - da. Są śliczne. O wiele ładniejsze od moich.

***

W końcu siedzimy na wyciągu.

Stok pod nami jest pomarańczowy od świateł.

Zimno mi w pupę. Mocno śnieży i cieszę się, że mam gogle.

Spoglądam w górę.

Nie widzę nieba.

***

Gdy schodzę z krzesełka, potykam się i upadam. Wyciąg staje, a mama próbuje mi pomóc. Przewraca się i obie leżymy.

Pan z obsługi pomaga nam wstać i mówi, że takie damulki to raczej na oślą łączkę. Mama odpowiada, żeby spierdalał.

Jakaś baba pyta, czy mamie nie wstyd tak brzydko mówić przy dziecku.

Chciałabym tej babie powiedzieć, że nie jestem dzieckiem!

I że mama zna też ładne słowa. Rozgrzewające jak herbata z cytryną i sokiem malinowym.

W końcu wstajemy i zjeżdżamy na bok.

Nic ci się nie stało?

Nie.

To jedźmy, bo zimno.

***

Wydaje mi się, że lecę.

Przede mną mama. Jedzie pewnie, dużo ładniej ode mnie. Narty trzyma równolegle. Próbuję ją dogonić, ale jadę za wolno. Nosi mnie na boki, nie potrafię utrzymać odpowiedniej pozycji. Gdy tracę ją z oczu, zaczynam się bać. Na podświetlonym stoku ciężko dostrzec kurtkę w kolorze obranego kiwi. Trasa rozgałęzia się i nie wiem, czy jechać w prawo, czy w lewo. Skręcam w lewo, w stronę lasu.

Narty niosą mnie same. Pędzę na złamanie karku. Tracę oddech.

Nie pamiętam, jak się skręca.

Nie pamiętam, jak się hamuje.

Ktoś zajeżdża mi drogę.

Uważaj mała!

Nie wiem, jak się uważa.

Dostrzegam niebieską siatkę. Zbliżam się do niej za szybko. Łączę czubki nart, uginam kolana. Za późno. Wpadam w siatkę, wypinają mi się narty. Ląduję głową w śniegu.

Nie cierpię jej,
Mamy.

***

Zatrzymuję się w połowie stoku. Oglądam się za siebie. Nie widzę Magdy. Czekam. Zdejmuję gogle i wystawiam twarz do nieba. Nie widzę go, ale wierzę, że tam jest. Płatki wpadają mi do oczu i ust. Nie chcę o niczym myśleć.

Chyba, że o bezsmaku śniegu.

Wracam do rzeczywistości. Coś długo jej nie ma.

Podchodzę pod górę. Gdy tak idę myślę o tym, jaka ta Magda uparta. Cała ja. Zaczynam żałować, że ją zmusiłam do tych nart. Pewnie wolała coś porobić na telefonie. Rozumiem. Koleżanki najważniejsze. TikTok i inne bzdety. Powinnam się cieszyć, że ma przyjaciółki. Zwłaszcza teraz.

Wiem, że jest wściekła.

Po prostu nie rozumie, ile to dla mnie znaczy.

Wyjść.

Na szczycie zaczynam się bać. Gdzie ona się podziała?
Zjeżdżam, rozglądając się uważnie. Dostrzegam jej kurtkę przy rozwidleniu. Podjeżdżam obiecując sobie, że będę spokojna. Łapię ją za rękę.

To nie Magda.

Serce podchodzi mi do gardła.

Wiadomo, absurd. Dziecko nie może przecież zniknąć tak po prostu, na środku stoku.
Nie dziecko. Poprawiam się. Nie jest już dzieckiem, przecież wiem.

Strach podpowiada mi upiorne scenariusze. Nieprawda, że takie rzeczy tylko w filmach. Za dużo ostatnio spotkało mnie takich rzeczy. Nas. Poprawiam się. Nas spotkało za dużo.

Naszą trójkę.

Postanawiam zjechać na sam dół. Jeśli tam jej nie będzie, poproszę obsługę o pomoc.

I wtedy trzeszczący głos z megafonu oznajmia, że Magda czeka na swoją mamę przy kasach.

Lecę.

***

Dom wydziela duszny znajomy zapach. Rzucam rzeczy w przedpokoju, ściągam buty. Wchodzę do pokoju obok. Tak na niego mówimy, bo jest obok pokoju Magdy.

Podchodzę do łóżka. Wszystko wydaje się w porządku.
Wróć.
Wszystko wydaje się tak, jak przed wyjściem.

***

Widzę jak mama wchodzi do pokoju obok. Na podłodze zostawia wilgotne ślady. Szeleszczą narciarskie spodnie.

Pochyla się nad łóżkiem. Słyszę, jak mówi tacie, że wróciłyśmy.

I że było wspaniałe.

Ciekawe, czy ją słyszy.

Krytyka

Paulina Janota

– na co dzień zajmuje się promocją instytucji kultury, w której pracuje. Jej pasją jest literatura, której oddaje się po godzinach pracy. Współpracuje z magazynami i portalami literackimi (Booklips, Miesięcznik Nowe Książki). Jej teksty publikowane były na łamach miesięcznika Śląsk, Nowe Książki czy też Opcji.

Maria Karpińska, *Ucichło*, wyd. WAB, 2022

Zawodność pamięci i stwarzanie się poprzez opowiadanie

Twórczość Marii Karpińskiej jest przemyślana i dojrzała; ma swój rytm i strukturę. Nie jest przeintelektualizowana, choć najnowszą jej powieść można byłoby czytać Freudem. *Ucichło* to dopiero druga książka w dorobku młodej autorki, lecz zdaje się, że Karpińska uformowała już własny, charakterystyczny, styl pisarski.
Maciej Jakubowiak w książce *Ostatni ludzie. Wymyślanie końca świata* wbrew tytułowi nie wymyślał rozmaitych końców naszej rzeczywistości; analizował te już stworzone i zrealizowane. Wymyślali je natomiast bohaterowie jednego z rozdziałów *Żywopłotów* Karpińskiej – w upalne dni snuli różne wizje końca świata.

W najnowszej książce autorki – *Ucichło* – główny, bezimienny, bohater z pewnością chciałby, aby historia, którą opowiada, była jedynie smutnym, niezrealizowanym scenariuszem. Scenariuszem, który wciąż może zmienić i inaczej rozpisać role swoich bohaterów. Mimo posiadanej władzy nad słowem, nie jest w stanie zmienić końca swej opowieści. Jego świat się kończy i rozpada, a my towarzyszymy mu w żałobie, kiedy wszystko wokół ucicha.

Już we wstępie bohater informuje nas, że jego historia będzie wytworem terapii narracyjnej, której się poddaje oraz że będzie smutna. Cierpi na bezsenność i zdawać by się mogło, że to ona jest powodem nieustającej zmiany kozetek terapeutycznych – „Nie mogę spać, a raczej usiłuję tego nie robić, bo najzwyczajniej w świecie boję się zasnąć". Bezsenność, choć uciążliwa, nie jest źródłem jego ciągłej potrzeby terapeutycznej – jest pretekstem do budowania narracji o stracie; o odejściu, z którym nie może się pogodzić. O tym, że jego przyjaciel Janek umiera, dowiadujemy się na pierwszych już stronach *Ucichło*. Przez I i II część książki czytelnik staje się powiernikiem jego elegijnej historii, którą bohater tworzy z obrazów dzieciństwa i późniejszej dorosłości; historii, w której jak sam przyznaje „prawda jest zupełnie drugorzędna". Jest demiurgiem słowa, który tka swą historię z zawodnej pamięci i nadpisanych wyobrażeń. Bohater konstytuuje się w rzeczywistości dzięki prowadzonej narracji, mimo że opowiada o sobie poprzez historię innych.

Fela, terapeutka bohatera, która tylko nielicznymi pytaniami przerywa jego monolog, zdaje się – mimo wszystko – odgrywać ogromną rolę w kształtowaniu opowiadanej historii. Bohater bierze pod uwagę jej ożywienie i zainteresowanie, dostosowując do niego narrację. Jego danse macabre trwa dzięki jej obecności i aprobacie. Na terapii zyskuje głos i poczucie sprawczości nad opowiadaną historią, ale nie nad toczącym się dalej życiem.

„Historia należy do tego, kto ma głos" – czytamy w III części opowieści, w której do głosu dochodzi Ola, siostra głównego bohatera i żona zmarłego Janka. Ola żyje w rzeczywistości bez męża i ojca swoich dzieci, a nie we wspomnieniu o nim. Jej głos nie jest lamentem, lecz świadomym straty wyznaniem. Zyskując głos, odzyskuje swą podmiotowość i prawo do opowiedzenia swojej wersji historii. Mimo straty, adaptuje się do nowej rzeczywistości i pustki; szuka punktów stałych, na których mogłaby się wesprzeć i mimo wszystko iść dalej. Żyje, kiedy bezimienny bohater tylko opowiada, i to często o cudzym, życiu.

Ten dwugłos łączy nie tylko brak Janka, ale i stonowana narracja oraz wyważone zdania. Emocje są tu trzymane na krótkiej smyczy niczym agresywne zwierzęta, których się boimy. Jest chłodno i ciemno, a bohaterowie wiedzą, „że następnego dnia ani kolejnego i jeszcze kolejnego nic nas nie czeka".

Ucichło traktuje o końcu świata, który następuje po śmierci najbliższej osoby; o dojmującej pustce, której nie można w żaden sposób zapełnić. Między wierszami Karpińska opowiada o jeszcze jednym – bardzo ważnym, lecz przez wielu niedostrzegalnym – końcu świata. Jesteśmy świadkami szóstego wymierania (co dobitnie obrazuje książka o tym samym tytule – *Szóste wymiera. Historia nienaturalna* Elizabeth Kolbert) różnych form życia, czego bezpośrednim powodem jest człowiek. Widmo nadciągającej katastrofy klimatycznej zaczyna przybierać coraz wyraźniejsze kształty i zaznaczać swoją obecność. Ten koniec wydarza się każdego dnia, często bezgłośnie i w osamotnieniu. Niegdyś pełne wody jeziora dzisiaj wysychają, pozostawiając po sobie jedynie suche koryta i zwierzęce truchła. „Pośród martwych ryb leżą też ptaki, rozpostarte skrzydła każą sądzić, że spadły prosto z nieba, gdy leciały, próbując się stąd wydostać, wierząc, że zdążą".

Bezimienny bohater ostatnie tygodnie życia spędza z Jankiem, stając się tym samym współuzależnionym od jego choroby. Bohaterowie starają się odebrać chorobie podmiotowość, zaprzeczając jej istnieniu. Wierzą, że nie godząc się na nią, zdołają ją pokonać. Podobnie działa bohater powieści *Śmierć pszczelarza* Larsa Gustafssona, która pojawia się na kartach *Ucichło*. O tym, że Janek przegrywa ze śmiercią, wiemy od samego początku, ale czy przegrywa również z chorobą?

Rozmowy na stronie

Rozmowa Piotra Borkowicza z Miszą Sagim

Wstęp do twojej książki jest bardzo współczesny, ale jednocześnie na wskroś – uwaga, duże słowo – dantejski. Czy nad światem przedstawionym twojej książki umieściłbyś napis "Porzućcie wszelką nadzieję, którzy tu wchodzicie"?

Myślę, że pozwoliłbym każdemu czytelnikowi stracić tę nadzieję na własną rękę. A tym, którzy jej nie stracą albo, na przekór, wręcz odzyskają, z radością rękę uścisnął.

"Wcześniej wstawałem dźwigałem większy ciężar" – tu widzę nawiązanie do mema "biedny śmietnikowy kitku, gdybyś mruczał częściej, większy dźwigał ciężar" (btw. mam bardzo podobny utwór, tylko u mnie więcej kotów). Czy twój bohater de facto przyznaje się do tego, że zrobił wszystko według modelowego wzoru, jaki wciskała nam neoliberalna propaganda lat 00s i 10s? Jaką cenę się płaci za dostosowanie do tej narracji, którą karmiono nas jako dzieci?

Zgadza się – memy zajmują całkiem ważne miejsce w książce, nawet jeśli nie zawsze nawiązania do nich wyrażane są wprost. Bohater *[doomer wave]* spóźnił się już na typowo najntisowy model kariery, polskich japiszonów wykorzystujących „możliwości przemian ustrojowych", nieznających jeszcze nowomodnych koncepcji „work-life balance", spośród których niewielkiej części faktycznie ambicje, „zmysł biznesowy", „kreatywność" lub po prostu harówka kilkanaście godzin na dobę zapewniły materialny sukces. Przynależy jednocześnie do generacji, która w momencie wkraczania na rynek pracy nie miała jeszcze wypracowanego języka krytyki tego modelu oraz świadomości jego ograniczeń i w dużym stopniu samodzielnie musiała wykształcić sobie na niego swoistą odporność – lub pogrążyć się w samoobwinianiu się. Nie ma jednej ceny, którą wszyscy muszą zapłacić. Zależy ona od kapitału kulturowego, sytuacji materialnej, szczęścia i – podejmowanych często w ciemno – decyzji. Ci, którym „się udało", będą bronić neoliberalnej narracji w imię obrony własnych biografii, a tym, których prekaryzacja dotknęła w największym stopniu, czasem ciężko w ogóle znaleźć czas i możliwości na pogłębioną refleksję nad tym, na ile ich sytuacja stanowi część problemu systemowego i jakiego rodzaju systemowe zmiany mogłyby ją poprawić.

Życie twojego bohatera balansuje pomiędzy interakcjami z NPC a byciem główną postacią w grze/symulacji. Co się stanie, jeśli jednostka nie "grinduje"? Jaki los czeka tych, którzy porzucili nawyk samooptymalizacji i odrzucili kazus produktywności?

Prawdopodobnie istnieje nieograniczona ilość scenariuszy, w zależności od szeregu zmiennych… Łatwo jest odpowiedzieć, że odrzucenie skrajnego modelu samooptymalizacji i wewnętrznego przymusu produktywności stanowi wyzwolenie i ulgę, ale wiadomo, że czym innym będzie to dla menadżerki średniego/wyższego szczebla albo programisty pracującego w modelu B2B, którzy "odnajdą się" w mindfulness, podróżach, aktywizmie i pracy w mniejszym wymiarze godzin, czym innym dla magazyniera lub kasjerki. Niestety branie udziału w wyścigu szczurów nie zawsze jest kwestią wyboru pędu ku „karierze", ale koniecznością na „elastycznym rynku pracy", zliczającym uśmiechy pracowników i czas spędzony w toalecie.

Jak określasz rolę używek w procesie samoregulacji jednostki w późnym kapitalizmie? Czy są one niezbędne do tego, żeby funkcjonować w takiej rzeczywistości, jaką opisujesz? Co jest w stanie nas ustabilizować?

Używki na dobre wkraczają w kapitalistyczną metanarrację właśnie gdzieś w momencie przejścia w tę fazę, którą można określić mianem „późnego" czy postfordowskiego kapitalizmu – to już nie jest kapitalizm fabryk, maszyn, wielkiego przemysłu, taylorowskiego modelu zarządzania, tylko biochemii, elektroniki, komunikacji, reklamy, spekulacji giełdowych i kryptowalut. Za tym idzie fetysz elastyczności, bardziej kompetencji niż kwalifikacji, w tym zwłaszcza kompetencji miękkich, rozumianych jako gotowość nieustannego przebranżawiania się, okresowych planów rozwojowych, szczucia narracją, że wykonywane przez nas zawody za kilkadziesiąt lat mogą nawet nie istnieć. W tym modelu jedyne, co może nam zapewnić sukces (będący ładniejszym słowem niż „przetrwanie"), to entuzjastycznie wyrażana gotowość ciągłego płynięcia z prądem, „podejmowania nowych wyzwań" i „wychodzenia ze strefy komfortu". Z kapitalizmem oczywiście najlepiej współgrają wszystkie stymulanty, z kokainą dla klasy wyższej i pochodnymi amfetaminy dla pozostałych. Do tego oczywiście antydepresanty,

wszelkie środki przeciwbólowe, uspokajające czy nasenne. Gdybym miał najkrócej odpowiedzieć na twoje pytanie, powiedziałbym, że kapitalistyczne spojrzenie na człowieka, nastawione na maksymalizację zysków, efektywność i produktywność, ujmuje go jako maszynę, której należy zapewnić możliwe długie i sprawne działanie na najwyższych obrotach. Na tym skupia się farmakoterapia i nowoczesna, wysoce wyspecjalizowana medycyna, naprawiająca poszczególne szwankujące elementy naszych organizmów. Oczywiście „medycyna holistyczna" także fantastycznie nadaje się do obrandowania i sprzedaży, zwłaszcza tym najbardziej zdesperowanym, na których medycyna zachodnia już postawiła krzyżyk, jednak faktycznie holistyczne spojrzenie na człowieka wydaje mi się z gruntu niekompatybilne z późnym kapitalizmem. „Kto ustabilizuje nas? nie mamy wpływu tylko szansę bycia pod wpływem".

Niektóre z konceptów ubierasz w pojęcia z dziedziny hinduizmu, skąd pomysł, żeby skrzyżować narrację o późnym kapitalizmie z tą grupą wierzeń religijnych?

Na wstępie muszę zaznaczyć, że dla mnie *[doomer wave]* to w ogóle nie jest książka o późnym kapitalizmie – to raczej tło, realia, w których się dzieje, ale nie główny temat, a kapitalizm nie jest jej fundamentalnym wątkiem. Natomiast faktycznie pojawia się tu szereg nawiązań do szeroko rozumianej "myśli wschodniej" – od sufickich mistyków, poprzez hinduistycznych guru, po mistrzów chan/zen. Nie liczyłem tego, ale intuicyjnie założyłbym, że spośród nawiązań religijnych, największą grupę bedą stanowić okołobuddyjskie. Z jednej strony to celowa przeciwwaga (lub paradoksalne dopełnienie) dla kapitalistycznej otoczki/krytyki (choć nie uważam swojej książki za „zaangażowaną" w rozumieniu wypracowanym przez krytykę literacką w zeszłej dekadzie). Z drugiej – efekt kondycji, drogi i poszukiwań bohatera książki. Starałem się w wypośrodkowywać pomiędzy "systemowym tłem", wątkami paraosbistymi (nie tyle w rozumieniu biograficznym, co oharystycznej poezji bardziej prywatnej), a właśnie wątkami, nazwijmy to, parareligijnymi czy „duchowościowymi" (w ujęciu duchowości jako przestrzeni nie zawsze kompatybilnej z religijnością).

Twój ulubiony zespół który gra doom jazz? Gdybyś miał złożyć playlistę pod swoją książkę, jakich wykonawców byśmy na niej znaleźli?

Jeśli chodzi o dark doom jazzowe playlisty, pewnie wskazałbym na jakieś kawałki Milesa Davisa. Poza tym na playliscie na pewno byłyby typowo doomerowe szlagiery jak Molchat Doma, różne doomer music vol., dużo kawałków z playlist typu STEAZYASFUCK lofi hip hop radio – beats to sleep/study/relax to, Lofi Girl lofi hip hop radio - beats to relax/study to. Do tego japoński pop lat osiemdziesiątych, trochę goa psytrance, free tekno, skrzyżowanie Iggy'ego Popa, Patti Smith, Leonarda Cohena, Weatherday, Sewerslvt i Lil Peepa, grające jakieś transowo synth-wave'owe kawałki.

W Twojej książce i narracja opowiadasz o rzeczach, które są w stanie nas zgubić jako społeczeństwo/cywilizację. Czy wzrost PKB jest jedną z tych rzeczy?

"zużywamy zasoby do wytworzenia których potrzeba 1,7 globu/kosztem odtwarzalności ekosystemu/projekcje wzrostu pkb/powinny podlegać pod art. 190 § 1. kodeksu karnego". Jasne, że nie jest możliwy nieograniczony wzrost na planecie o ograniczonych zasobach, a kapitalizm opiera się na potrzebie nieustannej ekspansji, inwestycji, zawłaszczaniu dóbr wspólnych, reżimie akumulacji, eksploatacji „zewnętrznego" (począwszy od „przyrody", surowców, w tym zasobów złóż energetycznych). Cała nadzieja technokratów opiera się na pomyśle „ucieczki do przodu", w kosmos, ku dostępnym tam surowcom i nowym przestrzeniom do eksploracji, możliwej dzięki „nieograniczonej ludzkiej kreatywności". Myślę, ze dzisiaj twierdzenia o tym, że wzrost PKB nie powinienem być celem samym w sobie (a sposób jego mierzenia jest rzeczą wybitnie uznaniową) i możliwe jest podnoszenie jakości życia nawet przy jego spadku, nie jest już niczym skrajnie heretyckim i powoli wręcz wchodzi do mainstreamu.

Czy uważasz, że ludzie powinni przestać rozmnażać się w celu zmniejszenia wpływu naszej populacji na środowisko?

Wiesz co, wydaje mi się, że akurat ekologiczne przesłanki antynatalizmu mają często ukryty wymiar klasistowski, jeśli weźmiemy pod uwagę, że 1% bogatych emituje więcej CO2 niż uboższe pół świata. Osobiście wolałbym, by człowiek po sobie posprzątał, zamiast rzucać zabawkami i się wylogowywać.

Długo byłeś w Azji? Jeśli byłeś, to jakiej relacji pociągiem jechałeś przed napisaniem wiersza "down by the nanjing road"?

Pół roku mieszkałem, studiując, w Japonii. Gdybym miał zliczyć i zsumować pozostałe pobyty w krajach umownie przynależnych do Azji, można by doliczyć może parę miesięcy. Ten tytuł akurat jest trochę zamotany, bo ulica nankińska to główna ulica handlowa Szanghaju, a wiersz umiejscowiony jest w Indonezji, i przed jego napisaniem jechałem pociągiem relacji Dżakarta- Jogjakarta.

"Jeśli spotkasz buddę, zabij go" – głosi jedno powiedzenie związane z praktyką zen. Znaczy ono, że należy zrezygnować z poszukiwań na zewnątrz i skupić się na własnym wnętrzu, a tym samym zabić "fikcyjną" postać Buddy, która jest tylko wytworem umysłu i przeszkodą w drodze do oświecenia. Czy możesz wskazać miejsce w książce, w którym zabijasz Buddę?

Tak. To też trochę charakterystyczny dla zenu sprzeciw wobec zewnętrznych autorytetów, rytualizmu i kultu jednostek. Historyczny Budda Siakjamuni, czyli Siddhartha Gautama nie był bogiem, tylko człowiekiem, który to i owo przekminił i przekazał innym metodę, która może pomóc im w tym samym. Ostatecznie nie chodzi o to, by Buddzie zawierzyć czy oddać cześć, tylko by również stać się buddą, czyli oświeconym. I – przynajmniej w mahajanie – poprowadzić ku temu innych, bo gdy „jedno jest wszystkim, a wszystko jest jednym", jednostkowe wyzwolenie nie jest możliwe. Przy czym „oświecenie" nie jest też jakimś achievementem do zdobycia i zyskaniem nowej jakości, tylko nowego spojrzenia – zobaczeniem własnej „prawdziwej natury". Jednostkowej i zarazem tożsamej ze wszystkimi innymi i całą rzeczywistością, bo niesubstancjalnej: pustki, siunjaty. Natomiast pytanie czy bohater zabija Buddę, , a jeśli tak, to w którym momencie książki, jest superciekawe, ale zostawię je czytelnikowi.

Wierzysz w reinkarnację? Jeśli w następnym życiu obudzisz się jako dziedzic jakiejś nieprzyzwoicie dużej fortuny, to czy będziesz pamiętał o swojej książce?

Ha, pozwolę sobie jeszcze pozostać w buddyjskim kluczu odpowiedzi na poprzednie pytanie – jeśli nie ma duszy („atmana"), nie ma też reinkarnacji żadnej jednostkowej,

niezmiennej jaźni, duszy, która przechodziłaby do następnego życia. Pozostaje natomiast prawo karmana i krąg samsary. Poza tym statystycznie – jeśli reinkarnacja byłaby faktem – wszyscy mamy ponad 50% szans na urodzenie się w Chinach lub Indiach, i promil szansy na urodzenie się w nieprzyzwoicie bogatej rodzinie. Natomiast co do mojej książki, prawdopodobnie nie tylko żadne moje potencjalne przyszłe wcielenie, ale w ogóle nikt na świecie nie będzie za kilkadziesiąt lat o niej pamiętać. Fajnie jednak, że teraz możemy o niej rozmawiać.

Jest jeszcze szansa na to, że cofniemy wskazówki na naszym doomsday clock?

Jako autor książki poetyckiej (ledwie zahaczającej o zagadnienia kapitałocenu i o, eufemistycznie ujmując, raczej umiarkowanych ambicjach zmiany społecznej) nie jestem pewnie najodpowiedniejszym adresatem tego pytania, ale jak zapewne większość chciałbym wierzyć, że jeszcze nie jesteśmy w miejscu „game over", jakkolwiek jednocześnie staram się do tej wiary nadmiernie nie przywiązywać.

Na co najbardziej lubiłeś wydawać punkty mybenefit?

Chyba na multisporta, ot choćby, żeby ćwiczyć asztangę i wyobrażać sobie światy alternatywne, w których na przykład mogę „wyjechać na goa zostać instruktorem jogi".

Kto jest modelowym odbiorcą Twojej książki? Zależy Ci na tym, żeby druga strona (ci od kapitału) usłyszała Twoją narrację?

Przyznam szczerze, że pisząc, nie myślałem o modelowym odbiorcy mojej książki, a im bardziej byłaby to zróżnicowana grupa, tym bardziej by mnie to cieszyło. Natomiast „ci od kapitału" pewnie już teraz przeznaczają całkiem istotny procent swojego czasu i energii na przekonywanie wszystkich dookoła, jak bardzo są zaangażowani w „zieloną transformację", „zero waste model" i że znajdują się awangardzie przyszłych wybawców ludzkości.

Jeśli nie kapitalizm to co? Jakie mamy opcje?

Jeśli porzucimy przekonanie że “łatwiej wyobrazić sobie koniec świata niż kapitalizmu”? Oczywiście Fully Automated Luxury Gay Space Communism, a z, póki co, realniejszych, pewnie różne formy nieliberalnych demokracji, AI technokracji i burżuazyjnych ekofaszyzmów. Mam jednak nadzieję, ze moja książka nie zostawi potencjalnego czytelnika tylko z tego rodzaju rodzaju ponurą konstatacją i znajdzie tam – również poza przestrzenią dominujących w naszej rozmowie wątków – coś, co sprawi, że nie uzna czasu spędzonego na jej lekturze za stracony, znaczy niezoptymalizowany.

Strona wolna

Dorota Świderska

- rysowniczka mieszkająca w Warszawie. Z wykształcenia ilustratorka, z zamiłowania autorka komiksów. Jej prace można zobaczyć na profilu facebookowym Is This It?: fb.com/isthisitcomics/ lub Instagramie: @dotderdot.

BANGKOK
02.2023

SITARONA
PANI SŁUCHA MUZYKI